

BARTŁOMIEJ ŁUDWISIAK

✿ GDAŃSKI ✿
SMAK
WHISKEY



NOVAE RES

BARTŁOMIEJ ŁUDWISIAK

GDAŃSKI
SMAK
WHISKEY



NOVAE RES

Gdański smak whiskey

Wydanie pierwsze

ISBN: 978-83-8147-697-3

© Bartłomiej Ludwisiak i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Wioletta Cyrulik

Korekta: Agnieszka Jedziniak

Okładka: Krystian Żelazo



NOVAE RES

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dzień pierwszy (piątek)

Dzień drugi (sobota)

Dzień trzeci (niedziela)

Dzień czwarty (poniedziałek)

Dzień piąty (wtorek)

Dzień szósty (środa)

Dzień siódmy (czwartek)

Dzień ósmy (piątek)

Karta redakcyjna

DZIEŃ PIERWSZY

(PIĄTEK)

Bruno siedział w barze, oparty o jeszcze mokrą, zawieszoną na fotelu wełnianą marynarkę. Zamknął oczy i przechylając wolno trzymaną w dłoni szklaneczkę whiskey, pociągnął pewnie spory łyk zimnego, bursztynowego napoju. Zastygł przez moment w bezruchu, pozostawiając na chwilę nos przy krawędzi szklanki, tak by intensywniej poczuć jego delikatny, waniliowo-drzewny smak.

Ten zapach przywoływał setki lepszych i gorszych wspomnień, twarze dawnych przyjaciół i związanych z nimi przygód, wśród nich również tych, które przeżył w trakcie swojej dwudziestoletniej pracy w policji.

W lewej, pokrytej tatuażami ręce przewracał zwinnie, niczym zawodowy hazardzista żeton, trzymaną w palcach wizytówkę. W ciepłych barwach nastrojowego światła połyskiwały wybite na niej złote litery – Sonia Roleski – z widocznym po drugiej stronie numerem telefonu. Spojrzał na zegarek wiszący na ścianie obok okratowanej metalowej szafki z butelkami drogiej whiskey – wskazywał trzydzieści pięć minut po północy.

Pociągnął kolejny łyżeczek i przeczesując palcami ciemny dwutygodniowy zarost, starał się dokładniej przypomnieć sobie sekwencję zdarzeń z ostatnich kilkunastu godzin.

Około dwudziestej pierwszej trzydzieści zawiózł na lotnisko w Gdańsku pana Nortona. To było jego pierwsze stałe piątkowe zlecenie. Od kilku bowiem dni, wraz ze swoim współnikiem Tomkiem Borucem, prowadzili niewielką firmę zajmującą się przewozem osób luksusowymi autami.

Minął dopiero tydzień, odkąd zamieszkał w grodzie Neptuna po tym, jak w bardzo krótkim czasie podjął decyzję o przeprowadzce z Katowic.

Wracając z lotniska, skierował się w stronę Galerii Bałtyckiej.

Był bardzo ciemny deszczowy wieczór. Błyskawice rozświetlały co jakiś czas okolice, a woda uderzająca o przednią szybę land rovera pomimo szybkiego ruchu wycieraczek prawie całkowicie ograniczała widoczność.

Przejazd drogą w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym przypominał mu spływ kajakowy na Dunajcu w porze roztopów. Z tą niewielką różnicą, że zamiast nawoływań flisaków, z samochodowego radia dobiegał ledwie słyszalny głos Erica Claptona, zagłuszany ciągłymi uderzeniami kropel o szklany panoramiczny dach.

Był już mniej więcej w połowie zjazdu.

Kręta asfaltowa nitka biegła stromo w dół pośrodku lasu. Za dnia te gęsto zalesione pagórki, poprzecinane licznymi wąwozami, wyglądały naprawdę urzekająco, dając mieszkańcom Pomorza namiastkę górskiego klimatu. Teraz jednak ta zazwyczaj pełna aut droga była zupełnie pusta, a ciemność, jaka na skutek awarii oświetlenia panowała wokół, z całą pewnością nie pozwalała na podziwianie przyrody.

Nagle wcisnął mocno pedał hamulca i tak szybko, jak pozwalała mu na to śliska nawierzchnia, odbił kierownicą w lewą stronę.

Samochód zatrzymał się gwałtownie.

– Ja pierdołę, co to było?! – krzyknął na myśl o wielkiej górze mięsa pokrytej ciemną sierścią, leżącej pośrodku pasa, którym jechał.

Odwrócił głowę w prawo i spoglądając przez szybę, znajdującą się po stronie pasażera, uniósł się lekko, starając się dostrzec, co takiego udało mu się ominąć.

Całkowita ciemność uniemożliwiła mu jednak zobaczenie czegokolwiek do chwili, gdy bardzo jasny, burzowy rozbłysk oświetlił okolice. Niespodziewanie, tuż przed sobą, zauważył stojącą w strugach deszczu nieruchomą postać kobiety.

Znów nastał mrok, a on miał przed oczami jedynie jej skrytą za długimi włosami, przerażoną i wykrzywioną jakby w grymasie płaczu twarz.

Poczuł lekki dreszcz przeszywający go od stóp do głów.

To uczucie przypomniało mu pewną sytuację sprzed niespełna roku, kiedy to dyżurny komisariatu w Katowicach wysłał go, wraz z partnerem, do opuszczonej starej kamienicy pod miastem. Dochodziła druga w nocy.

Według anonimowego zgłoszenia miała tam przebywać osoba, której opis idealnie pasował do wyglądu poszukiwanego już od dłuższego czasu, zbiegłego z oddziału detencyjnego, psychopatycznego mordercy.

Trzy lata temu znaleziono jego pierwszą ofiarę i później już systematycznie, co kilka miesięcy, przypominał o sobie, posyłając na tamten świat kolejnych przypadkowych ludzi.

Spyt i niesamowita łatwość, z jaką wymykał się policyjnym blokadom, oraz umiejętność przewidywania zamiarów śledczych były cechami, które zdecydowanie wyróżniały go na tle podobnych zwyrodnialców. To wszystko, w połączeniu z techniczną kreatywnością stosowanych przez niego pułapek, w jakich znajdowano ofiary, jednoznacznie wskazywało, że była to osoba bezwzględna, o ponadprzeciętnej inteligencji.

Nie dziwi zatem fakt, że jego wcześniejsze, zupełnie przypadkowe zatrzymanie – gdy późnym wieczorem, w okolicach warszawskiego cmentarza, po wtargnięciu na jezdnię został potrącony przez pojazd – bardzo ucieszyło wszystkich, którzy widzieli jego ofiary i wiedzieli, do czego był zdolny.

Policję na miejsce wypadku wezwał pracownik miejskiego monitoringu, który zaobserwował całą sytuację i widział, jak sprawca próbuje oddalić się z miejsca zdarzenia. Pomimo złamanych dwóch żeber i prawej ręki poturbował on jeszcze trzech dorosłych mężczyzn usiłujących go zatrzymać.

Nikt wtedy jeszcze nie przypuszczał, że satysfakcja z jego ujęcia będzie trwała tak krótko. W trakcie przeprowadzonych obserwacji stwierdzono

u niego chorobę psychiczną i za zgodą sądu zastosowano środek zapobiegawczy w postaci umieszczenia go na leczeniu w szpitalu psychiatrycznym.

Dość szybko jednak okazało się, że na miejscu nie zapewniono mu najwyraźniej wystarczających wygód, ponieważ już po niespełna miesiącu, raniąc ciężko sanitariusza, niezadowolony opuścił ośrodek i ślad po nim zaginął.

Radiowóz Brunona mijał właśnie niewielki kamienny mostek, podczas gdy jego partner notował, podawany przez dyżurnego, adres kolejnej interwencji. Zgodnie z poleceniem mieli udać się tam pilnie zaraz po sprawdzeniu tego miejsca.

Była bardzo cicha i mroźna noc. Samochód z dużą trudnością pokonywał ostatni stromy odcinek oblodzonej, wąskiej drogi, która nie będąc używana już od lat, powoli zarastała roślinnością.

Po przybyciu na miejsce zgłoszenia i przeszukaniu dolnych pomieszczeń kamienicy pozostało im jedynie ostatnie piętro na poddaszu.

Zobaczyli tam długi prawie na pięćdziesiąt metrów, ciemny, wąski korytarz biegnący pomiędzy rzędem pustych, zdewastowanych pokoi bez drzwi.

W mroźnym, przesiąkniętym zapachem fekalii powietrzu, jego partner oświetlał drogę latarką, podczas gdy on, trzymając w dłoni gotową do użycia broń, przesuwał się powoli do przodu, starając się omijać leżące pod nogami kawałki cegieł i stosy pustych butelek.

Po kilku minutach doszli do starych, drewnianych drzwi bez klamki, które pokrywało wiele grubych warstw odpadającej już płatami farby.

Bruno oparł o nie stopę i nie mijając progu, pchnął je butem do przodu. Otworzyły się z głośnym zgrzytem, uderzając lekko o ścianę.

Za drzwiami znajdowało się pomieszczenie podobne do tego, w którym stali. Z tą niewielką różnicą, że wąski korytarz zaczynał się dopiero w odległości około dziesięciu metrów za progiem. Przed sobą ujrzeli

natomiast coś na wzór wysokiego na około sześć metrów strychu, ze spadzistym po obu stronach dachem. Pod nim położone były grube, drewniane belki z niezliczoną ilością sznurków, na których wisały szmaty i komplety zszarzałej już od kurzu pościeli. W niewielkiej odległości od drzwi, na betonowej podłodze leżały sterty drewnianych desek i starych ubrań, a wszystko przykryte było grubą warstwą porozrzucanej wokół słomy.

W pomieszczeniu panowała zupełna cisza.

Weszli ostrożnie do środka.

– Mówiłem ci, że jedynie przewieje nam dupy – powiedział ściszym głosem Magnus. – To już czwarte anonimowe zgłoszenie w tym roku. Ktoś najwyraźniej robi sobie z nas jaja.

– Być może – powiedział szeptem Bruno, wpatrzony przed siebie w światło latarki, której promień, napotkawszy na białe kafle pokrywające ścianę w końcu korytarza, odbił się jasnym refleksem. – Nie zapominaj jednak, że na miejscu znaleziono ciała dwóch osób i ktoś wyjątkowo starannie przyłożył się do tego, by nie pożegnały się one z tym światem zbyt łatwo.

– Przypadek – powiedział lekceważąco trochę głośniejszym głosem, najwyraźniej nie widząc w tym nic podejrzanego. – Za to powinienes...

– Pssst... – syknął Bruno, zatrzymując się. Usłyszał przed sobą hałas przypominający dźwięk szklanej butelki toczącej się po betonowej podłodze.

Stali przez moment w bezruchu.

– Słyszałeś to? – zapytał.

– Dobrze się czujesz? Bo coś mi się wydaje, że jesteś chyba trochę przewrażliwiony – powiedział jego partner, wyprostowując się i chowając rękę do kieszeni spodni. – Skup się lepiej na tym, do jakiej knajpki uderzymy dzisiaj wieczorem. Zapomniałeś? Strzeliło mi osiemnaście lat pracy. Ja zapraszam.

Bruno uniósł dłoń do góry, dając znak, by kumpel na chwilę zamilkł.

Przez kilkanaście sekund pomieszczenie wypełniła całkowita cisza i w chwili, gdy miał już postawić kolejny krok do przodu, spojrzał nagle przed siebie. Na końcu korytarza, w wąskim świetle latarki ujrzał przebiegającego pomiędzy sąsiadującymi ze sobą pomieszczeniami mężczyznę z trzymanym w dłoni przedmiotem. Przypominał on długi myśliwski nóż.

– Wzywaj wsparcie – powiedział spokojnie Bruno z bronią pewnie wycelowaną w miejsce, w którym zniknęła postać. Za plecami nie usłyszał jednak żadnej reakcji. Zaniepokojony skierował lekko głowę w kierunku Magnusa. W tej samej chwili do jego uszu dobiegł odgłos szarpnięcia i cichy, głuchy jęk. Odwrócił się i zauważył, jak na wysokości dwóch metrów od podłogi, szarpiąc się z metalową linką obwiązaną wokół szyi, wisi jego partner.

To był moment, taki jak ten teraz, kiedy widząc w ciemności sylwetkę ubranej na biało osoby, ponownie pomyślał, że spośród setek różnych możliwości zapewne po raz kolejny znalazł się w złym miejscu o niewłaściwym czasie.

Kobieta najwyraźniej dość szybko podeszła do pojazdu, bo już po chwili usłyszał, jak jej dłoń chwyta za klamkę przednich drzwi od strony pasażera i pociąga za nią gwałtownie.

Były zablokowane.

Dla pewności Bruno uchylił szybę jedynie do połowy i zanim zdążył się odezwać, osoba łamiącym się głosem zapytała:

– Pomoże mi pan? Nazywam się Sonia Roleski. Tam jest nasze auto.

Znowu błysk rozjaśnił drogę i dopiero teraz, kilkadziesiąt metrów przed sobą, w bocznej uliczce prowadzącej do lasu, ujrzał dużą limuzynę.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedział, odblokowując drzwi auta.

Kobieta przeszła na tył pojazdu, otworzyła je i usiadła. Była całkowicie

przemoczona i zziębnięta.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała drżącym głosem, obejmując dłońmi ramiona. W jednej z nich ścisnęła przepleciony pomiędzy palcami srebrny łańcuszek, na którym zawieszona była drobna, połyskująca ozdoba. Bruno zauważył, jak kobieta przyglądała się jej z uczuciem.

– Co się stało? – zapytał.

– Uderzyliśmy w to biedne zwierze, które panu udało się ominąć. Mąż wpadł w poślizg i najechał na jakąś przeszkodę. Chyba uszkodził koło.

– Żadne z państwa nie zostało ranne?

– Nie. Na szczęście nie – odparła, ocierając dłońmi wodę lejącą się jej z włosów po twarzy.

Bruno podjechał bliżej do unieruchomionego pojazdu, następnie wysiadł i stawiając kołnierz marynarki, podszedł do kierowcy.

Teraz dopiero zauważył, że ten masywny krążownik, którego nie udało mu się rozpoznać z daleka, to rolls-royce phantom. Przednia, lewa opona pojazdu była uszkodzona i auto stało na gołej feldze. W środku, na miejscu kierowcy siedział mężczyzna grubo po sześćdziesiątce.

Na widok Brunona sięgnął dłonią w kierunku środkowego lusterka i zapalając światło w aucie, wskazał na telefon komórkowy, dając do zrozumienia, że w tej chwili zajęty jest rozmową.

Trwało to może pół minuty. Wymiana zdań była dość impulsywna, bo w jej trakcie, wyraźnie zdenerwowany już jegomość, kilkakrotnie uderzył pięścią w kierownicę pojazdu. Bruno zauważył jednak moment, w którym dyskusja bez wątpienia dobiegła końca, ponieważ to właśnie wtedy szpakowaty mężczyzna rzucił telefonem w kierunku prawego fotela pasażera. Zaklął głośno, a następnie odwrócił się w jego stronę i uchylając szybę auta, wymusił lekki uśmiech.

– Bardzo pana przepraszamy za kłopot, ale czy byłby pan tak uprzejmy i zawiózł moją żonę do domu? Jest przemoczona, a do tego, jako miłośniczka zwierząt przeżyła, nazwijmy to, mały szok z powodu tego

dwustukilowego paskudztwa – powiedział, pokazując kciukiem w stronę leżącego nieopodal truchła.

Bruno raczej nie wyczuł skruchy w jego głosie.

Mężczyzna szybkim ruchem dłoni sięgnął po paczkę marlboro i wyjął ustami wysuniętego z niej papierosa. Następnie rozejrzał się nerwowo za zapalniczką, po czym, nie znalazłszy jej, odwrócił głowę w stronę Brunona i z petem w ustach dodał:

– Mieszkamy całkiem niedaleko, w Sopocie. Jedzie pan może w tym kierunku?

Bruno odwrócił się i spojrzął na swoją pasażerkę, która wycierała włosy w koc leżący na tylnym siedzeniu i zadomowiła się już chyba na dobre.

– Okej. Nie ma sprawy – odparł, choć nie było to zupełnie po drodze, którą zamierzał jechać. To dziwne – pomyślał, chwytając rękoma za kołnierz marynarki i otrzepując go z wody. – Dlaczego ta kobieta stała na deszczu, podczas gdy on czekał w luksusowych, ciepłych wnętrzach tego motoryzacyjnego cudeńka?

Widać było, że starszy pan raczej nie oczekiwał innej odpowiedzi i zaczął szukać przycisku zamykającego szybę auta, dając tym samym czytelny sygnał, że poświęcił na rozmowę zbyt dużo czasu. Wobec tego Bruno wrócił do samochodu.

– Już lepiej? – zapytał, siadając za kierownicą i nie odwracając głowy.

– Zdecydowanie tak – odparła kobieta znacznie spokojniejszym głosem. – Jeszcze raz bardzo panu dziękuję – dodała, delikatnie się uśmiechając. – Poprzedni kierowca, zamiast się zatrzymać, dodał jedynie gazu. W sumie nie dziwię mu się, jest tak ciemno... Mógł się czegoś obawiać.

Bruno spojrzął za siebie.

– To jak? Możemy jechać? Odwiozę panią do domu.

– Jeśli tylko Oskar pozwoli mi zabrać się z panem – powiedziała z nadzieją w głosie, spoglądając na samochód męża.

– Nawet sam o to poprosił – odrzekł Bruno, przyglądając się uważniej pasażerce.

Pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, to że przypomina Sofię Loren, a mówiąc ściślej, jej młodszą siostrę. Była to kobieta około pięćdziesiątki, o włoskiej urodzie, słodkim uśmiechu i pięknej, lekko puszystej figurze, w eleganckiej, przyklejonej do ciała mokrej garsonce, na którą zarzuciła jasne, krótkie futerko. Na długiej, smukłej szyi wisiała, połyskując dyskretnie, wysadzana drobnymi kamieniami kolia warta przynajmniej tyle, ile wynoszą jego kilkuletnie dochody.

Na pewno nie wracali z pobliskiej Ikei – pomyślał i wrzuciwszy bieg, ruszył w dół drogi.

Kobieta jakby czytała w jego myślach, bo chwilę później, spoglądając na pierścionek na serdecznym palcu lewej dłoni, powiedziała:

– Planowaliśmy przylecieć dopiero jutro. Zapowiadali gwałtowne burze, ale Oskar dostał jakiś ważny telefon. Od kilku dni miał okropny humor. Ten wyjazd to była katastrofa.

Bruno zwolnił dość mocno, omijając głęboką kałużę, w której utknął jakiś pojazd.

– Zaczęło się jeszcze na lotnisku w Gdańsku, na chwilę przed wylotem. Mój mąż z całą pewnością nie należy do spokojnych osób, ale wtedy przeszedł samego siebie. W terminalu krzyczał do telefonu, rozmawiając z jednym ze swoich pracowników. Mówił, że „należy z tą gnidą poważnie porozmawiać”, a jak wróci, sprawa ma być zamknięta. Prowadzi tak wiele interesów z różnymi ludźmi. Kiedy chodzi o duże pieniądze, nie wszyscy grają fair. Bardzo mu zależało na jakichś dokumentach, a wczoraj wieczorem dostał dwie wiadomości – jedną dobrą, drugą złą. Nie wiem, o co dokładnie w nich chodziło – powiedziała, odpinając drobne klamerki pasków znajdujących się przy butach na obcasie i masując zziębnięte stopy. – Przepraszam za moje dość dziwne zachowanie, ale wracając z lotniska, strasznie się pokłóciliśmy i kazał mi wyjść z samochodu... Drań!

Bezдушny drań! – Mówiąc to, zakryła twarz dłońmi.

Bruno chciał pocieszyć kobietę, ale nic nie przyszło mu do głowy.

– To przykre – powiedział.

Był trochę zaskoczony jej otwartością i tym, jak swobodnie opowiadała mu o swoich przeżyciach. Pomyślał, że w gruncie rzeczy chyba nie wszyscy bogaci są doszczętnie zepsutymi snobami.

Po minięciu niewielkiego ronda przy Ergo Arenie spojrział we wsteczne lusterko samochodu, przyglądając się przez chwilę pani Soni. Ona uniosła w tym czasie lekko głowę i widząc jego wzrok, miło się uśmiechnęła.

– Gdzie mam skręcić? – zapytał, mijając starą karczmę przy wjeździe do Sopotu.

– To już niedaleko – odparła, poprawiając mokre jeszcze włosy. – Proszę skręcić w prawo, a później już pana pokieruję.

Po dziesięciu minutach samochód podjechał pod wielką, kutą bramę, zamocowaną na solidnych, metalowych zawiasach, przytwierdzonych do grubego kamiennego muru.

Czekali jakieś pół minuty, aż do chwili, gdy lekko utykając, podeszła do nich osoba w uniformie pracownika ochrony. Spod jego długiej, sięgającej kolan, czarnej przeciwdeszczowej kurtki, przebijała niebieska koszula z granatowym krawatem. Na głowie mężczyzny, a raczej na jej tylnej części, znajdowała się odwrócona daszkiem do góry ciemna czapka na wzór amerykańskiego policjanta.

Bruno otworzył okno.

– Słucham – powiedział szorstko ochroniarz, nie ukrywając poirytowania tym, że musiał opuścić ciepłe i suche pomieszczenie portierni.

– Robert, to ja – powiedziała pani Sonia, wciskając głowę pomiędzy zagłówki przednich siedzeń. – Otwórz, proszę.

– Przepraszam panią, nie zauważyłem – odparł już wyraźnie miłszym tonem, poprawiając czapkę i ruszając pośpiesznie w kierunku przycisku

otwierającego bramę.

Samochód ruszył wolno szeroką, wysypaną białym żwirem drogą, która po około dwustu metrach zaprowadziła ich pod biały, jednopiętrowy pałacyk, zza którego okien przebijało ciepłe, miodowe światło.

– Proszę wejść. Trochę się pan wysuszy. Nalegam – powiedziała pani Sonia. – Jest pan zupełnie przemoczony – dodała, dotykając dłonią rękawa jego marynarki.

– To bardzo miłe z pani strony – powiedział Bruno. Wiedział, że sytuacja nakazywała jej taką uprzejmość, ale zdawał sobie również sprawę z tego, że kobieta po ostatnich przeżyciach chciałaby zapewne odpocząć. Poza tym za chwilę pewnie wróci jej mąż, a wizja ciepłej herbatki w towarzystwie „bezdusznego drania”, jak raczyła go przedstawić, nie wydawała mu się dobrym pomysłem na miłe spędzenie wieczoru. – Niestety, z przykrością muszę odmówić. Mam jeszcze sprawę na mieście – skłamał.

– W takim razie nie wiem, jak mogłabym się panu odwdzięczyć – powiedziała lekko zawiedziona. – Proszę mi wybaczyć, ale siedząc w pańskim aucie, trochę się rozejrzałam i dostrzegłam firmowe wizytówki: „B&T – Luksusowy przewóz osób”. Jeśli nie miałby pan nic przeciwko, mogłabym kiedyś skorzystać z...

Bruno uśmiechnął się zachęcająco.

– Przynajmniej dwa razy w miesiącu wylatuję na pokazy mody. Jest to po części związane z moim hobby. Projektowanie ubrań to moja pasja – powiedziała i podała mu swoją wizytówkę.

– Będzie mi bardzo miło, jeśli skorzysta pani z oferty naszej firmy – odparł.

– Zatem do zobaczenia i jeszcze raz dziękuję – dodała, spoglądając na niego dużymi, ciemnymi oczami, po czym wysiadła.

Bruno wyjechał z posiadłości.

Powoli przestawało już padać. Początkowo zamierzał zajrzeć jeszcze do

biura znajdującego się w Gdańsku przy ulicy Ogarna, gdzie mieściła się ich firma. Chciał zanieść tam kartonowe pudło z akcesoriami biurowymi, które przekazał mu wspólnik. Dzisiaj rano zauważył je w bagażniku. Tomek wspominał, że podrzucił je do auta i najwidoczniej uczynił to wczorajszego wieczora. Z uwagi jednak na to, że powrót z lotniska zajął mu zbyt wiele czasu, postanowił zrobić to następnego dnia.

Zaparkował samochód niedaleko miejsca, w którym zakupił coś, co było jego długoletnim marzeniem – mieszkanie typu loft. Mieściło się ono w zabudowaniach starej, nieczynnej już fabryki, co samo w sobie tworzyło klimat.

Wymagało co prawda gruntownego remontu, ale ekipa zajęła się tym już ponad trzy tygodnie temu. Do czasu jego przyjazdu prace nadzorował Tomek i szły one dość sprawnie. Sześć dni temu zakończono renowację starej cegły i założono podwieszane sufity, a do dzisiaj udało się ukończyć pomieszczenie, które było dla niego najważniejsze – łazienkę, bo to tam właśnie sypiał na materacu od kilku dni.

Z tego miejsca miał zaledwie kilkadziesiąt metrów do swojego biura, poza tym lokalizacja mieszkania była idealna z jeszcze jednego powodu. Niewątpliwą jej zaletą była bliskość Starego Miasta i duża ilość uroczych, klimatycznych pubów. Takie miłe sąsiedztwo zobowiązywało wręcz do odwiedzin, a zaniechanie ich po całym dniu pracy świadczyło, delikatnie mówiąc, o braku kultury i rażąco naruszało zasady właściwego zachowania w określonych miejscach i sytuacjach. I chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że jest to całkowicie błędne rozumowanie definicji *savoir-vivre*'u, to potrzeba napicia się dobrej whiskey w pełni, jego zdaniem, tę nadinterpretację usprawiedliwiała.

Z myślą o kulturze właśnie Bruno, pokonując trzy niewielkie schodki w dół, wszedł do pubu, w którym niezależnie od pory dnia czas płynął zawsze tym samym spokojnym rytmem.

Usiadł przy niewielkim stoliku, zapadając się w dużym, wygodnym

fotelu z ciemnobrązowej postarzonej skóry. W powietrzu unosił się zapach whiskey oraz melodia *chillout*. To zawsze działało na niego uspokajająco, wprawiało go w dobry nastrój i dodawało energii na kolejny dzień.

Jednak tego wieczoru wyjątkowo nie potrafił się odprężyć. Powodem tego było wspomnienie z ostatniej rozmowy, jaką przeprowadził ze swoim przyjacielem Tomkiem.

Trwała ona krótką chwilę, lecz w jej trakcie z łatwością spostrzegł, że ten na co dzień bardzo spokojny i opanowany człowiek był czymś wyraźnie zdenerwowany.

Znali się już od czasów szkoły podstawowej i nawet pomimo wyjazdu Tomka do Gdańska, gdzie ponad pięć lat temu podjął on pracę jako prywatny detektyw, nadal stale utrzymywali ze sobą kontakt.

To on namówił go na przyjazd do Trójmiasta i osiedlenie się w Gdańsku. W Katowicach Bruno sprzedał swój nowo wybudowany dom, pozostawiając najbliższą rodzinę i przyjaciół.

Wczorajsza wieczorna rozmowa, a raczej cztery krótkie zdania, które usłyszał po odebraniu od niego telefonu, były wyraźnie niepokojące.

Tomek sprawiał wrażenie zdenerwowanego, a jego głośny i szybki oddech pozwalał przypuszczać, że prawdopodobnie przed kimś uciekał.

– Ta sprawa Laury... Wiesz! Szukają mnie! Muszę wyjechać! – wysapał.

To dziwne. Tomek nigdy nie wspominał mu o dziewczynie imieniem Laura. Być może sytuacja, w której się znalazł, spowodowała, że miał jedynie chwilę, by przekazać mu coś istotnego.

Dzwonił około dwudziestej pierwszej i później miał już wyłączoną komórkę.

Nie dawało to Brunonowi spokoju, dlatego dzisiaj z rana postanowił odwiedzić mieszkanie wspólnika.

Znajdowało się ono w luksusowej dzielnicy Jelitkowa, na niewielkim strzeżonym osiedlu, położonym wśród zieleni, pomiędzy dużymi iglastymi

drzewami. Zaledwie sto metrów od morza.

Do dwupokojowego apartamentu, umiejscowionego na ostatnim piętrze budynku, przynależał również duży taras wycelowany wprost na piaszczystą plażę.

Na miejscu nikogo jednak nie zastał.

Zadzwoił więc do jego żony. Miała na imię Ola.

Była to atrakcyjna, wysoka i bardzo miła blondynka. Pracowała jako adwokat. Młodsza od Tomka o ponad dekadę, o czym ten regularnie przypominał Brunonowi przy każdej nadarzającej się okazji. A skoro on sam wyglądał na znacznie młodszego, niż był w rzeczywistości, Bruno często żartował, pytając, czy przypadkiem nie oszukał Oli, podając swój zaniżony wiek, a jeśli tak, to kiedy zamierza to sprostować.

Poznał ją na kursie żeglarskim w Mikołajkach, gdy chcąc się zapewne popisać, przepłynął zbyt blisko niej, taranując żaglówką jej rower wodny. Byli ze sobą od trzech lat.

Ola powiedziała, że od wielu już dni planowali wspólny tygodniowy wypad do rodziny, a termin wyjazdu wyznaczyli na najbliższą sobotę.

W czwartek, około dwudziestej Tomasz wpadł do domu wyraźnie podenerwowany i bez żadnych wyjaśnień zaczął nerwowo pakować walizkę. Kiedy zapytała go, z czego wynika ten pośpiech, powiedział jedynie, że zaszły pewne nieprzewidziane okoliczności i wyjadą tego samego dnia późnym wieczorem. Następnie dodał, że musi jeszcze zajrzeć na chwilę do biura, po czym wyszedł, zabierając ze sobą walizkę. Poprosił jedynie, aby była gotowa, gdy wróci za około godzinę.

Czekała na niego do pierwszej w nocy, ale już nie pokazał się w domu.

Czasami, co miało związek z jego wcześniejszą pracą, znikał na całe noce, prosząc, by do niego nie dzwoniła. Prowadził wtedy jakieś obserwacje, ale tym razem miała wyraźne przeczucie, że sytuacja była zupełnie inna. Nigdy dotąd nie widziała męża tak wyraźnie czymś przejętego. Bardzo ją to zaniepokoiło, dlatego już po dwóch godzinach

próbowała się do niego dodzwonić. Niestety bez skutku.

W przedpokoju zostały jedynie jego brudne buty, w których kilka godzin temu przyszedł. Cała podeszwa oblepiona była szarozielonym błotem, jakby gliną, a kiedy Ola je myła, z rowka bieżnika wyciągnęła łuskę.

Dzisiaj wczesnym rankiem przyjechała do swojej mamy i czekała z nadzieją choćby na najmniejszą informację od niego.

Bruno dobrze znał przyjaciela i wiedział, że bez wyraźnego powodu nie zamartwiałyby najbliższych swoją osobą.

Dopił do końca whiskey i zostawił banknot pod pustą szklanką.

Zdał sobie sprawę z tego, że jeżeli w najbliższych godzinach nie dostanie żadnego znaku od Tomka, będzie to niestety świadczyć jedynie o tym, że wpakował się on w jakieś poważne kłopoty.

Wychodząc z pubu, minął grupkę młodych, roześmianych ludzi, którzy przy wtórze głośnego stukotu butelek szli na jakąś domówkę. Przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował kroki w stronę swojego mieszkania.

Dzisiaj późnym wieczorem fachowcy dokończyli montaż drzwi wejściowych i położyli przed nimi płytki ceramiczne. Nie chcąc naruszyć świeżej jeszcze zaprawy, postanowił wejść do środka przez garaż.

Minął przykryte plandeką auto i poklepał je dobrotliwie po masce. Następnie przekroczył próg i bezpośrednim przejściem dostał się do holu.

Poczuł lekką wilgoć i zapach świeżej farby malarskiej. Próbował po omacku znaleźć włącznik światła, ale po tym, jak dotknął wystających ze ściany kabli, zrezygnował. Rano widział cały tor przeszkód, który należało pokonać na trasie ciągnącej się od łazienki do głównego wyjścia. Polegając zatem na własnej pamięci, ruszył pewnie do przodu.

Po mniej więcej minucie z niemałym trudem dotarł na miejsce, potykając się po drodze o pozostawione przez fachowców narzędzia i przewracając stojące przed drzwiami łazienki, wypełnione prawdopodobnie wodą, duże wiaderko. Tutaj dopiero udało mu się znaleźć

włącznik oświetlenia. Z oczami zmrużonymi od nagłego uderzenia światła podszedł do materaca, który idealnie mieścił się w kabynie prysznicowej. Zrzucił na niego ubranie i pochylając się nad umywalką, ochlapał twarz letnią wodą. Po chwili strzepał z poduszki nalot po świeżo szlifowanej gładzi gipsowej i nie gasząc światła, przykrył się kocem.

DZIEŃ DRUGI

(SOBOTA)

– Ja pierdolę i kilo cukru poszło w cho-le-rę! – krzyknął jakiś głos.

– Dolicz mu się do rachunku i będzie facio uważał – dodał drugi.

Najwyraźniej wrócili panowie fachowcy – pomyślał Bruno, otwierając oczy. – Jak to szło? – Spojrzał w górę, próbując przypomnieć sobie slogan reklamowy firmy remontowej, z którą podpisał umowę: „BĘDZIECIE PAŃSTWO ZADOWOLENI. SZACUNEK DO KLIENTA TO NASZA DEWIZA OD POKOLEŃ”. Zaśmiał się pod nosem z nadzieją, że przynajmniej pierwsza część tego hasła będzie się pokrywała z prawdą. Przesunął materac wraz z kocem i poduszką pod drzwi i spojrzał na stojący przy umywalce budzik. Dochodziła siódma.

Wcześniej zaczęli. To dobrze – pomyślał, wyobrażając sobie końcowy efekt ich prac. Był szczerze przekonany, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z założonym projektem, powinien on bez wątpienia zachwycić niejednego sceptyka takich architektonicznych rozwiązań.

Wziął szybki prysznic i po niespełna trzydziestu minutach był już w drodze do biura.

Jasne słońce, czyste, błękitne niebo i delikatny, rześki wiatr, który przeganiał kolorowe liście po ulicy, czyli to wszystko, co wielu ludziom kojarzyło się z minioną już piękną, złotą jesienią, Brunonowi przypomniało jedynie o tym, że musi mądrze zakupić odpowiednią liczbę kaloryferów do swojego loftu. Niewiele rzeczy można z całą pewnością przewidzieć, ale to, że zima, jak co roku, wciśnie się przed oczekiwaną już przez niego wiosnę,

było niestety pewne.

Idąc wśród biegnącej chodnikiem młodzieży, spieszącej się na zajęcia, zajrzał do położonej w pobliżu francuskiej piekarni, gdzie kupił dwie gotowe bagietki z szynką szwarcwaldzką, serem i dużą ilością rukoli.

Wszedł do biura znajdującego się na pierwszym piętrze odrestaurowanej starej kamieniczki, do którego prowadziły grube szklane drzwi z mlecznego szkła. Przekraczając próg, poczuł delikatną, bardzo subtelną woń damskich perfum i – jakby tego było mało – ładna uśmiechnięta buzia odwróciła się w jego stronę.

– Dzień dobry, panie Bruno. Jak minęła panu noc?

To była Kasia. Bardzo miła, dwudziestoparoletnia dziewczyna, znajoma Tomka.

Pracowała u niego w charakterze sekretarki od samego początku, to znaczy od momentu, kiedy prowadził on jeszcze działalność jako prywatny detektyw. Tomek wielokrotnie mówił, że Kasia ma dodatkowy zmysł i intuicję do tej roboty i w wielu prowadzonych przez niego sprawach często okazywała się bardzo przydatna. Poza tym, co niezmiernie ważne, miał do niej pełne zaufanie.

Chociaż w tej chwili niewiele miała tu pracy, do jej zadań należało przyjmowanie zamówień na przejazdy, a skoro firma, według zapewnień Tomka, miała się prężnie rozwijać, to z całą pewnością wkrótce sytuacja się zmieni i będzie co robić. Tomasz wyraził zgodę, aby do tego czasu w wolnych chwilach uczyła się w biurze.

Była studentką pierwszego roku skandynawistyki na Uniwersytecie Gdańskim. Tomek wspominał, że zawsze pociągała ją kultura i historia narodów skandynawskich i myślała nawet o tym, by w późniejszych latach wyjechać tam na stałe. Prośbę uzasadniła brakiem odpowiednich warunków do nauki w domu.

Bruno nie widział przeciwwskazań. Niewątpliwie swoją obecnością dodawała miejscu klimatu i podnosiła jego prestiż.

– Dziękuję, pani Kasiu – odpowiedział. – Wczoraj zrealizowałem wszystkie przejazdy. A jak dzisiejszy plan? Nic nie wypadło?

– Nie, nic – odparła, odchylając się w fotelu do tyłu i spoglądając na wiszący na ścianie kalendarz. – Dwa zaplanowane już wcześniej przejazdy na lotnisko i jeszcze jedno dodatkowe zlecenie. Wczoraj dzwonił nasz nowy klient, pan Jacek Wolny, i zarezerwował kurs z Gdyni do hotelu w Juracie. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam, ale prawdopodobnie ma się tam odbyć uroczystość weselna jego mamy.

Zatem to bez wątpienia poważne wydarzenie dla tego młodego człowieka – pomyślał, podchodząc do Kasi, która zbliżała się do niego z grafikiem w dłoni.

Gdy znalazł się przy niej, zapytała z wyraźną obawą w głosie:

– A czy ma pan może jakieś wieści od szefa? Próbowałam, ale od wczorajszego wieczoru nie mogę się do niego dodzwonić.

– Podobnie jak ja – powiedział, odbierając kartkę. – Prawdopodobnie wyjechał i wyłączył telefon. Może dzisiaj uda mi się dowiedzieć czegoś więcej. – Uśmiechnął się, chociaż dobrze pamiętał ostatnią, dość niepokojącą rozmowę z przyjacielem. Nie chciał niepotrzebnie jej martwić, poza tym był dobrej myśli i miał nadzieję, że do wieczora wszystko pozytywnie się wyjaśni. Zauważył jednak, że Kasia nadal była niespokojna i odniósł wrażenie, jakby wiedziała więcej, niż mu się zdaje.

– A, przepraszam, jest coś jeszcze, panie Bruno – powiedziała, spoglądając na sąsiadujące z jej pokojem pomieszczenie. – Posprzątałam porozrzucane teczki w pańskim biurze. Musiał się pan dzisiejszej nocy bardzo spieszyć, bo zapomniał pan również zamknąć drzwi.

– Jakie drzwi? – zapytał, choć dobrze wiedział, że jedynie ich główne wejście do biura jest zamykane na klucz.

– A nasze – odpowiedziała, po raz kolejny się uśmiechając, lecz tym razem tak, jakby miała do czynienia z gapą, który stojąc przy drzwiach, pyta, którądy do wyjścia.

Minął próg i wszedł do drugiego pokoju.

Było to dość nowoczesne i funkcjonalne biuro. Utrzymane w kolorystyce lakobelowej czerni i ciepłego, brązowego drewna. Dwa duże okna wychodziły na sąsiadującą z budynkiem kolorową kamieniczkę. Złożone były z małych kwadratowych szybek i zajmowały prawie całą ścianę, wpuszczając za dnia dużą ilość jasnego światła. Po ich przeciwległej stronie stał regał z książkami i segregatorami w różnych kolorach oraz mała sofa, a w dwóch trzecich odległości od drzwi znajdowało się duże biurko z obracanym skórzanym fotelem.

Panował porządek, jednak z relacji Kasi wynikało, że ktoś z jakichś przyczyn odwiedził nocą ich biuro i zrobił w nim spory bałagan.

Nie był to na szczęście rabunek, odetchnął z ulgą, widząc leżący na biurku zegarek Zenith – prezent od ojca. Zapomniał zabrać go wczoraj, śpiesząc się do klienta, który niespodziewanie zadzwonił rano, prosząc, by podstawił samochód o godzinę wcześniej.

Zatem o co chodziło nieproszonym gościom i czego tu szukali? – zastanawiał się, zapinając skórzany czarny pasek na lewym nadgarstku.

Usiadł i zabrał się do śniadania. Zauważył, że niewielka ciemnobrązowa sofa, która została zakupiona do biura, jest rozkładana. Remont w jego mieszkaniu miał potrwać jeszcze dwa dni, a podczas dwóch kolejnych miały być montowane meble i planowano dowieszenie pozostałego wyposażenia.

Zatem przez cztery kolejne noce wypróbuję sobie ten mebelek – pomyślał.

W czasie, gdy dojadał ostatnią już bagietkę i popił ją ciepłą herbatą, podaną z wdziękiem przez panią Kasię, spostrzegł, że ostatniego klienta odbiera spod adresu znajdującego się niedaleko komisariatu policji.

Jeśli do godziny osiemnastej nie będzie żadnego sygnału od Tomka, to ponownie zadzwonię do jego żony. Z pewnością należałoby zgłosić fakt zaginięcia na policję – pomyślał, odkładając telefon po ponownym

nieudanym połączeniu ze współnikiem.

Następnie wstał i wyjąwszy z szuflady ładowarkę do telefonu, wyszedł z biura.

Dochodziła godzina siedemnasta trzydzieści.

Właśnie wracał z lotniska, gdzie odstawił na samolot małżeństwo z wesołą gromadką dzieci. Tego roku postanowili oni spędzić przedświąteczny czas, łącznie z sylwestrem, na ciepłych plażach Malediwów.

Miał jeszcze godzinę do kursu z panem Wolnym.

Po raz kolejny nie zdołał połączyć się z Tomaszem, więc zadzwonił do Oli.

Dziewczyna prowadziła właśnie pojazd na jakimś trudnym odcinku drogi, dlatego pośpiesznie poinformowała go, że dokładnie przed kwadransem była na komisariacie, gdzie zgłosiła zaginięcie męża. Dodała również, że jeśli ma coś ciekawego do przekazania, to policjanci chcieliby z nim również porozmawiać. Zauważył, że Ola zaczyna się coraz bardziej martwić, co zresztą było zupełnie uzasadnione, więc w dwóch słowach starał się ją, w miarę możliwości, jakoś uspokoić. Bez skutku.

Parę minut później wszedł już do budynku komisariatu.

Dyżurny w trakcie krótkiej rozmowy zorientował się, że Bruno również pracował kiedyś w tej firmie, dlatego skierował go bezpośrednio do pokoju numer dwadzieścia pięć na drugim piętrze. Wcześniej zadzwonił i przekazał krótką informację:

– Słuchaj, Wiluś, jest tu znajomy pana Tomasza Boruca, swój gość, dlatego nie schodź, wysyłam go do was. Ma tylko czterdzieści pięć minut, więc może odłóż na chwilę ten drugi telefon... Wiesz, o czym mówię. I przekaz moją prośbę swojemu koledze Grzegorzowi. Postarajcie się.

Po czym nacisnął guzik otwierający magnetyczny zamek w drzwiach.

Na miejscu, w dość mocno zadymionym pokoju, Bruno zauważył policjanta siedzącego przy biurku i piszącego coś na komputerze. W ustach

trzymał on dymiącego się papierosa, a dokładniej mówiąc, jego ostatnie milimetry. Dym stale podrażniał jego lewe oko, które miał mocno przymknięte.

Po szybkości, z jaką ogarniał stos leżących przed nim dokumentów, widać było, że zjadł już zęby na tej robocie.

Nie podnosząc głowy, ruchem dłoni wskazał drewniane krzesło z krzywym oparciem, proponując, by Bruno usiadł. Kiedy ten już do niego podszedł, policjant nagle się zerwał.

– Zaczekaj, kolego! – powiedział, po czym zbliżył się i chwyciwszy je za oparcie, odsunął je zdecydowanie na bok. Szybko rozejrzał się po pokoju i po chwili podsunął Brunonowi bardziej solidne krzesło. – Lepiej nie ryzykować, to krzesło Wilusia obliczone na jego ciężar, czyli maksymalnie dla gościa o posturze gęsi wyścigowej.

– Tyś jest, kurła, kawał gościa. – Zza metalowej szafki rozległy się słowa wypowiedziane wyraźnie oburzonym głosem.

Policjant odłożył niedopałek papierosa do przepełnionej już prawie popielniczki. Otworzył lewe oko, po czym porozumiewawczo mrugnął do Brunona prawym, nie ukrywając zadowolenia z faktu, że udało mu się wyprowadzić kogoś z równowagi.

W trakcie rozmowy, kiedy to Bruno nie omieszkiał wspomnieć o dziwnym telefonie od Tomka, co zostało skrupulatnie zapisane, raz na jakiś czas któryś z policjantów zniknął za rzędem metalowych szafek, by po chwili wołać drugiego.

– Gregory, telefon! – ponownie zawołał zza szafki Wiluś. – Chodź, kurła, szybko, bo się koledze śpieszy – dodał.

Z każdym kolejnym „połączeniem” obaj byli coraz bardziej „zmęczeni”, a w powietrzu unosiła się charakterystyczna woń „ducha puszczy”. Przypominali mu jego dwóch starych kumpli, świetnych gości, lubiących podczas pracy lekko się wspomóc, ale efekt końcowy był zawsze profesjonalny.

– Nie zapytałem, jak się poznaliście – powiedział Gregory, wstając i włączając mocniejsze światło.

– Dorostaliśmy na tym samym osiedlu w Sosnowcu. Zaraz po studiach Tomek przyjechał tutaj. Zawsze interesowały go kryminalne zagadki, filmy i wszystko, co z tym związane, dlatego nie zdziwiłem się, kiedy pięć lat temu poinformował mnie o założeniu agencji detektywistycznej. Świetnie mu szło i widać było, że jest w swoim żywiole. Do czasu, gdy pewnego dnia znaleziono go przy drodze za miastem, pobitego do nieprzytomności. Miał zmiążdżone palce lewej dłoni i dwóch z nich niestety nie udało się uratować.

– Przypadek? Czy komuś się naraził? – zapytał Gregory, patrząc na Brunona i kręcąc wolno w palcach sumiastego wąsa.

– Przypuszczam, że to drugie, ale nigdy nie chciał o tym mówić, a ja go nie dopytywałem. Po tym zdarzeniu zmienił zajęcie na bardziej spokojne i wspólnie otworzyliśmy interes.

– Tak. Wspomniała o tym pani Ola, kiedy u nas była. Nie możemy jednak wykluczyć, że ktoś miał z nim nieuregulowane sprawy z poprzedniego okresu.

– Być może – zgodził się Bruno. – A, jeszcze jedno. Nie wiem, czy ma to jakiś związek, ale dzisiejszej nocy ktoś włamał się do naszego biura. – Gregory uniósł z zaciekawieniem głowę. – Nic nie zginęło. Narobił trochę bałaganu.

– Najwyraźniej czegoś szukał. Na razie próbujemy ustalić, jakie sprawy prowadził ostatnimi czasy Tomasz. Niestety ukrył gdzieś całą dokumentację i nie będzie to łatwe. Pracujemy nad tym i miejmy nadzieję, że jedynie wziął walizkę i postanowił przez kilka dni odpocząć od żony. Choć po tym, co widziałem, ja bym tej pani raczej samej nie zostawiał. Zatem przypuszczam, że wkrótce powinien stęskniony wrócić – powiedział, składając kartki z zapisanymi właśnie notatkami. Bruno jednak zauważył w jego oczach lekki niepokój.

– Byłoby super – podsumował, wstając z krzesła i spoglądając na niewielki blat biurka uginający się pod ciężarem teczek pełnych dokumentów. – Niewątpliwie przydałby się wam solidniejszy mebelek.

– Za parę godzin jeszcze tego trochę doniosą – powiedział Gregory, ciężko wzdychając i ogarniając wzrokiem setki zapisanych drobną czcionką kartek. – Kłopot w tym, że musimy się z nimi do rana uporać. Terminy, ponaglenia – dodał, unosząc do góry jeden z druczków i machając nim w powietrzu. – Niektórzy ludzie myślą, że całe dnie zajadamy tu jedynie z Wilusiem pączki, podczas gdy przestępcy chodzą po ulicach bezkarni.

– Nie zna życia, kto nie służył w marynarce – powiedział Wiluś, który trzymając w dłoni grubą kromkę chleba, smarował ją niezdarnie pasztetem – w Tarnowskich Górach przy betoniarce – dokończył, zatapiając zęby w chlebie.

– W takim razie, jeśli to wszystko, to dziękuję i trzymajcie się, panowie, nie przeszkadzam. Spokojnej... – dodał Bruno, po czym wstał i wyszedł pospiesznie z pokoju. Za parę minut miał podstawić auto pod dom pana Wolnego. Przez ostatnie kilkadziesiąt godzin nieustannie zamartwiał się losem Tomka, teraz jednak poczuł wyraźną ulgę, dzieląc się z kimś tym problemem i mając świadomość, że ktoś w końcu zajmie się poszukiwaniem jego przyjaciela.

Na miejscu był punktualnie. Zaparkował pojazd przed nowym, parterowym domkiem bez ogrodzenia z niewielkim kwiatowym ogródkiem w kształcie kwadratu. Po upływie około dwudziestu minut, na ścieżce przed autem zauważył zbliżającą się w jego kierunku, bez wyraźnego pośpiechu, drobną postać. Był to mężczyzna w wieku około siedemdziesięciu lat. Ubrany w ciemnoniebieski garnitur w pomarańczową delikatną kratkę i w dużym, szarym kapeluszu na głowie. W poruszającej się energicznie dłoni trzymał cztery mizerne kwiatki przypominające wyglądem goździki, stojące jeszcze w wazonie po zakończonej pięć dni temu imprezie.

Podszedł do Brunona i pochylił głowę.

– Dzień dobry. Nazywam się Jacek Wolny. Przepraszam, że musiał pan czekać.

– Dzień dobry. Nic nie szkodzi – odpowiedział Bruno.

Rzeczywiście pani Kasia musiała coś źle zrozumieć, wspominając o weselu szanownej mamy pana Wolnego, na które to miał zawieźć swojego klienta – pomyślał, gdy starszy pan zajmował już miejsce na tylnym siedzeniu.

Drzwi się zamknęły i Bruno powoli ruszył.

– Chwileczkę! – powiedział pan Jacek, unosząc prawą rękę do góry, podczas gdy drugą w tym czasie poklepywał się energicznie po kieszeniach marynarki.

Pojazd zatrzymał się na poboczu.

– Czy ja wziąłem papierosy? A, są! – krzyknął z nieukrywaną radością. – No, to teraz bardzo proszę, możemy spokojnie jechać. Impreza weselna zaczyna się za około pół godziny.

– Pozwolę sobie zauważyć, że raczej nie zdążymy na rozpoczęcie – powiedział Bruno, spoglądając na zegarek.

– I właśnie o to mi chodzi, młody człowieku. Widzę jednak, że nie bardzo się orientujesz, w czym rzecz. Musisz zatem wiedzieć, że to już drugi ślub mojej kochanej mamusi w tym roku. Obiecałem, że następnym razem się nie spóźnię. Poza tym moja babcia żyła ponad setkę, więc jest wielce prawdopodobne, że w takim tempie mogą odbyć się jeszcze przynajmniej cztery wesela, zanim będzie... – Tu przerwał, przechylając trzymaną w dłoni lśniącą, srebrną piersiówkę. – To znaczy zanim znajdzie tego jedyne.

DZIEŃ TRZECI

(NIEDZIELA)

Brunona obudził bardzo jasny blask porannego słońca, który wdarł się nagle do jego biura.

– Muszę przyznać, że pomyśl ze spaniem tutaj był strzałem w dziesiątkę – powiedział do siebie, zanim przeciągnął swoje metr osiemdziesiąt pięć, zahaczając stopą o stojącą na podłodze lampę. Jej duży niklowany klosz zakołysał się na długim, metalowym ramieniu i uderzył lekko o ścianę.

Dochodziła godzina ósma trzydzieści. Bruno wiedział, że pierwszy kurs ma wyznaczony dopiero na jedenastą, zatem dysponował jeszcze wystarczającym zapasem czasu, by wziąć w swoim mieszkaniu prysznic i coś zjeść.

Wstał i poprawiając spodenki, zajął odruchowo, dla pewności, czy wszystko jest na swoim miejscu. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pomieszczenia weszła pani Kasia.

Miała długie rozpuszczone blond włosy sięgające do połowy pleców, śnieżnobiałą koszulę z dwoma rozpiętymi guzikami i czarne, mocno przylegające do ciała spodnie, kończące się dziesięć centymetrów nad kostką. Całości dopełniały zgrabne buty na wysokim, wąskim obcasie. W dłoni trzymała dużą książkę z kolorowym zdjęciem na okładce przedstawiającym wysoki na ponad pięćset metrów norweski klif Preikestolen.

– Przepraszam – zająknęła się, wyraźnie zakłopotana, spoglądając na

niego – ale nie przypuszczałam, że tak wcześniej zajrzy pan... To znaczy... Chciałam powiedzieć: przyjdzie pan do pracy.

Bruno puścił trzymaną w palcach gumkę, która przykleiła się do brzucha z charakterystycznym odgłosem klapnięcia.

– To ja przepraszam – powiedział, wciągając lekko już widoczny mięsień piwny z pełną świadomością, że spóźnił się z tym przynajmniej o dobre kilkanaście sekund. – Myślałem, że w niedzielę zrobi sobie pani wolne. Remont w domu dobiega powoli końca, więc... – ciągnął Bruno, spoglądając na pozostawione w nieładzie posłanie, jakby chciał usprawiedliwić swoją sytuację.

– Tak, wiem, jak to jest. – Kasia pokiwała ze zrozumieniem głową. – Zawsze wyskoczy coś niespodziewanego i termin oddania przedłuża się w nieskończoność – dodała, a do jej uroczego uśmiechu dołączył rumieniec. – Proszę mnie zawołać, jeśli będzie pan czegoś potrzebował – zakończyła i wychodząc, rzuciła dyskretne spojrzenie na znajdujący się po wewnętrznej stronie lewego przedramienia tatuaż Brunona. Przedstawiał on barmana przelewającego zapalony likier Sambuca. Z drugiej strony, na wysokości żeber, widoczna była długa na około trzydzieści centymetrów i ciągnąca się od prawego sutka aż po kość biodrową szeroka szrama.

Tego dnia miał jeden kurs do Warszawy. Zamówiło go dwóch poważnych biznesmenów w średnim wieku, którzy udawali się tam na kongres gospodarczy.

Był on przewidziany do późnych godzin, więc planowo miał zostać do dnia następnego, by zabrać ich z powrotem do Gdańska. Lubił takie zlecenia. Na noc zarezerwowano dla niego hotel z kolacją i śniadaniem. Jednak panowie już po godzinie od rozpoczęcia spotkania stwierdzili, że z uwagi na nudny temat, który był już odgrzewany wielokrotnie, wracają do domów tego samego dnia.

W czasie powrotu głośno dyskutowali, a kiedy po zjeździe na przydrożny parking z WC, z którego chciał skorzystać jeden z pasażerów,

zapropował im drinka Negroni, rozmowa ożywiła się jeszcze bardziej.

Mijając granice miasta, Bruno przypomniał sobie niedawną telefoniczną rozmowę z żoną Tomka, a szczególnie fragment, w którym kobieta wspomniała, że mąż był ostatnio dwukrotnie w pewnym klubie nocnym w Gdańsku i że miało to związek z jego wcześniejszą profesją. Przypuszcza, że chciał dokończyć pewną sprawę, która nie dawała mu spokoju. Na zakończenie Ola podała mu jeszcze numer telefonu zaczynający się trzema ósemkami i na tyle prosty do zapamiętania, że nie musiał go notować. Z tego numeru – powiedziała – dzwoniła do niego jakaś kobieta, rozmawiali ponad kwadrans i to po tej rozmowie wszystko się zaczęło. Zauważyła, że Tomasz był wyraźnie pobudzony. Nie chciał o niczym mówić, choć tak naprawdę nigdy nie zdradzał szczegółów dotyczących jego pracy, dało się wyczuć, że to musiało być coś wyjątkowego. Kiedyś, późnym wieczorem, ta kobieta zadzwoniła raz jeszcze. Tomek odebrał połączenie, ale w słuchawce usłyszał jedynie jakiś szum, po czym zostało ono przerwane. Od tego momentu za każdym razem, gdy wybierał ów numer, telefon był wyłączony.

Następnie Ola, z wyraźną trudnością, odczytała dwa wyrazy, które jej mąż miał niechlujnie napisane na skrawku pogniecionego papieru, przypominającego część oderwanej tytki, w którą pakuje się kebaba. Dodatkowo całość zabrudzona była mocno jakimś sosem: „ŁUDŹ KAROL”. Ktoś zapisał go pośpiesznie, popełniając błąd ortograficzny w nazwie miasta i podpisał imieniem „Wiki”. Zauważyła, jak ostatniego wieczora Tomasz ścisnął tę kartkę w dłoni, ale prawdopodobnie wypadła mu na podłogę, zanim wyszedł.

Bruno podjechał właśnie pod dom jednego ze swoich klientów. Panów do końca nie opuścił dobry nastrój i po otwarciu drzwi wysiedli razem z zamiarem kontynuowania tematu u jednego z nich. Wyglądali na zadowolonych i przyglądając im się przez chwilę, pomyślał, że jeśli zajdzie taka potrzeba, zadzwonią zapewne ponownie.

Teraz postanowił odwiedzić klub nocny. Znajdował się on kilka kilometrów dalej, na obrzeżach miasta.

Dojechał tam w niespełna pół godziny i mijając parking pełen samochodów, zaparkował pojazd kilkadziesiąt metrów dalej od miejsca, w którym znajdował się lokal. Siedząc jeszcze za kierownicą, spojrzął przez przednią szybę. W oddali, przy schodach prowadzących do klubu, dostrzegł młodego mężczyznę w białej koszuli, leżącego nieruchomo na wznak. Po chwili człowiek ten poruszył się i z wielkim trudem próbował wstać z chodnika.

Bruno wysiadł z samochodu i w czasie, gdy zbliżał się do budynku, już go nie było, a na betonowym bruku została po nim tylko dość spora plama krwi.

Było zaledwie kilka minut po dwudziestej pierwszej, jednak pomimo stosunkowo wczesnej pory, przyległe do klubu ulice świeciły już pustkami. Natomiast liczba osób, które zastał w lokalu, kiedy już udało mu się przecisnąć przez ciężkie, bordowe kotary, jednoznacznie wskazywała na to, że chyba wszyscy dorośli mieszkańcy okolicy przebywali właśnie tutaj, świetnie się bawiąc.

Usiadł przy barze i poprosił o drinka. Głośna muzyka, dobiegająca z niewielkiego głośnika stojącego obok barmana, skutecznie jednak zagłuszyła jego zamówienie. Bruno powtórzył je, tym razem trochę głośniej.

Dyskretnie rozglądał się po lokalu, pociągając co jakiś czas zimny bezalkoholowy napój.

Rozneglizowane panie, pomimo zbliżającej się zimy, wyglądały, jakby dopiero co zeszły ze skąpanej słońcem plaży i gdyby nie to, że była to ich praca, można by nawet pomyśleć, że świetnie się bawią.

Zauważył, że barman, wysoki mężczyzna o ciemnej karnacji z długą, lekko rudą brodą i wyglądem drwala, co pewien czas spogląda w jego kierunku. Najwyraźniej dostrzegł moment, w którym skończyła mu się

zawartość w szklance, bo z chwilą, gdy wypił ostatni łyk napoju, podszedł i zaczął energicznie wycierać, znajdujący się przed nim, czysty blat baru.

– Czy ma pan może jakieś specjalne życzenie, skoro jedno pragnienie już pan ugasił? – zapytał z uśmiechem, który zdradzał cały wachlarz oferowanych tu atrakcji.

Bruno położył na barze banknot trzykrotnie przewyższający rachunek za drinka i pochylił się lekko, z wyciągniętym w rękę zdjęciem przedstawiającym Tomka.

– Widział pan może tę osobę? – zapytał. – Była tu ostatnio kilka dni temu.

Barman spojrział na fotografię, przyglądając się jej przez krótki czas, po czym pokręcił głową na znak, że nic mu ona nie mówi i nie odrywając od niej wzroku, powoli odsunął się o krok do tyłu. Po chwili jednak wrócił i zmarszczył czoło, najwyraźniej próbując sięgnąć głębiej w zakamarki pamięci.

– Zaraz... Był tu ktoś podobny, rozmawiał nawet z Reni, ale dzisiaj jej nie ma.

– A kiedy będzie?

– Hmm... Powinna być jutro, jeśli nie zamieniła się z koleżanką. Proszę zostawić numer telefonu, to jej przekażę, że chciał pan z nią rozmawiać, ale za efekt nie ręczę.

– Okej. Dzięki – powiedział Bruno, podając mu firmową wizytówkę.

Barman wziął do ręki mały kartonik i nie oglądając, schował go szybko do tylnej kieszeni spodni. W tym momencie Bruno zauważył, jak oczy mężczyzny spoglądają z uwagą, przez jego ramię, daleko w głąb sali.

Przy wejściu zrobiło się jakieś zamieszanie, po czym do klubu weszli policjanci z mężczyzną, który trzymał czerwony bandaż przy nosie. Był to ten sam, którego Bruno widział przed lokalem.

Stojący za barem człowiek odwrócił się w stronę włączonego laptopa.

– Kurwa, znowu kłopoty – powiedział pod nosem, ścisząc muzykę.

Do baru pewnym krokiem podszedł funkcjonariusz. Był słusznej postury, wyglądał na ponad sześćdziesiątkę, o czym świadczyły długie sumiaste wąsy i siwe włosy.

Spojrzał groźnie na Brunona, po czym odwrócił się tyłem do baru.

– Koniec zabawy! – oznajmił stanowczo, lecz z dającą się wyczuć satysfakcją w głosie i podczas kiedy kilkunastu innych policjantów rozstawiało się po lokalu, dodał: – Proszę przygotować dokumenty. Przystępujemy do legitymowania.

Bruno zauważył, jak facet z opatrunkiem przy nosie podchodzi w asyście dwójki mundurowych do każdego stolika i przygląda się uważnie gościom. Najwyraźniej ktoś go pobił – pomyślał – i szukają sprawcy. Już zamierzał podejść do dowódcy, gdy uprzedził go wyglądający na dwadzieścia parę lat mężczyzna, z uwieszonymi u szyi dwiema głośno chichoczącymi paniami.

– Szefie... A mógłby pan zacząć ode mnie? Rozumie pan, to delikatna sprawa – powiedział chłopak, poprawiając wysoko postawiony kołnierz koszuli i zamykając prawe oko na dłuższą chwilę. – Gram w piłkę nożną w pierwszej lidze i... i trochę mi niezręcznie – dodał, kiwając się na boki.

Dowódca przerwał mu, unosząc wysoko otwartą dłoń, a jego twarz nabrała ciemnobordowego odcienia.

– Tyś jest piłkarz?! – krzyknął, otwierając szeroko, jakby z ogromnym niedowierzaniem oczy, po czym dodał jeszcze głośniejszym głosem: – Tyś jest kurwiarz! – Następnie chwycił go za koszulkę w okolicach prawego ramienia, przyciągnął bliżej siebie, po czym pchnął w kierunku grupy osób stojących przy ścianie.

Bruno wyciągnął dowód osobisty i postanowił jednak poczekać spokojnie na swoją kolej.

Z lokalu wyszedł grubo po północy, chyba jako ostatni z gości. Miał długą „umoralniającą” rozmowę z dowódcą akcji po tym, jak rozpoznał go

obecny na miejscu Gregory z komisariatu i poinformował wodza, że jest tu jeden swojak. A w związku z tym, że nie chciał on wtajemniczać nikogo w powód wizyty w tym, jak to ujął starszy policjant, „miejscu zapomnianym przez Boga”, wysłuchał w pokorze wszystkiego, co tamten miał mu do powiedzenia.

Bruno przyjechał na ulicę Ogarna. Na szczęście udało mu się zaparkować auto dość blisko biura, ponieważ miał zamiar zabrać ze sobą dość ciężkie pudło kartonowe, które przekazał mu Tomek.

Po wejściu na piętro otworzył drzwi i wszedł do środka, zapaliwszy światło. Wszystko było starannie poukładane, czysto, a do tego w powietrzu unosił się jeszcze delikatny zapach damskich perfum. To przypomniało mu Kasię i niefortunne zdarzenie z rana.

Przeszedł do swojego pokoju i położył pudło na podłodze. Następnie podszedł do biurka, na którym leżała mała kartka ze starannie zapisaną wiadomością: „Panie Bruno, wyszłam dopiero o 22.30. Musiałam nadgonić materiał. Zlecenia dla Pana są na moim biurku. Jutro mogę posiedzieć do północy, ale będę dopiero po 10.00. Tym razem zapukam... ”. Na końcu znajdował się rysunek uśmiechniętej buźki.

Bruno usiadł na sofie i przyciągnął do siebie pudło. Było starannie owinięte taśmą. Po jej zerwaniu rozchylił szeroko tekturowe wieka. Na wierzchu znajdowały się akcesoria biurowe, długopisy, zszywacz i cała masa drobiazgów, które wyjął i odłożył ostrożnie na bok. Pod nimi leżało zdjęcie w grubej szklanej antyramie, na którym, na tle słonecznej greckiej zatoczki stał Tomek wraz ze swoją żoną. Pod zdjęciem, razem z rękawiczkami do golfa, kilkunastoma golfowymi piłeczkami i paroma książkami o tematyce marynistycznej, leżała biała, zawiązana na tasiemkę papierowa teczka z dużym, zapisanym drukowanymi literami i podkreślonym czerwonym pisakiem, napisem: „LAURA”.

Bruno wyjął teczkę i rozwiązał tasiemkę. Na dywan wysypały się wycinki z prasy, fragment skserowanej mapy i zdjęcie trzech młodych

dziewczyn stojących na tle zabytkowych kamieniczek. Były to dość charakterystyczne budynki, więc bez trudu domyślił się, że zrobiono je na rynku we Wrocławiu. Głowa jednej z postaci, stojącej pośrodku ładnej blondynki w jednoczęściowej, krótkiej sukience, była zakreślona długopisem, a na odwrocie zdjęcia widniał napis: „Dla Laury od Reni”. Uwagę Brunona zwrócił jeden z leżących na dywanie wycinków z tytułem zapisanym pogrubioną czcionką: „KOLEJNA MŁODA OFIARA DOPALACZY”. Podniósł go i opierając się łokciem o bok sofy, przeczytał na głos zamieszczony pod nim artykuł:

„Dzisiaj nad ranem policjanci z Komendy Powiatowej Policji w Pucku wyłowili z wody ciało dwudziestodwuletniej dziewczyny. W odległości kilkudziesięciu metrów od puckiego moła, na plaży, znaleziono rzeczy, które prawdopodobnie należały do ofiary. Wśród nich znajdowały się duże ilości substancji chemicznych niewiadomego pochodzenia, tak zwanych dopalaczy. Policja nie chce ujawniać szczegółów, ale nie wyklucza się nieszczęśliwego wypadku lub samobójstwa”.

Kolejne artykuły pochodziły z późniejszego okresu i również dotyczyły tej sprawy. Sekcja zwłok wykazała zażycie dużej ilości organicznego związku chemicznego zwanego fentanylem. Jest to bardzo silny lek o działaniu przeciwbólowym, który w minimalnych dawkach stosowany jest między innymi przez anestezjologów podczas zabiegów operacyjnych. Zażycie go w niekontrolowanej ilości może doprowadzić do ciężkiej i śmiertelnej hiperwentylacji, dlatego był on także wykorzystywany przez rosyjski specnaz.

Bruno w swojej wcześniejszej pracy spotkał się już z osobami, które były po zażyciu tego środka. Od pewnego bowiem czasu stał się on jedną z wielu niebezpiecznych substancji dodawanych przy produkcji dopalaczy.

Na ciele ofiary nie było śladów walki, jednakże badania wykazały, że na kilka godzin przed śmiercią dziewczyna odbyła stosunek seksualny. Bruno wziął do ręki niewielki fragment czarno-białej mapy przedstawiający,

w dość dużej skali, zalesiony teren poprzecinany leśnymi drogami. Mapa była niekompletna. Brakowało jej prawego górnego rogu, tak jakby ktoś zerwał ją pospiesznie z czegoś, do czego była przyklejona. Przyglądając się jej dokładniej, wywnioskował, że na brakującym fragmencie zakresłono długopisem niewielki okrąg, zaznaczając prawdopodobnie jakieś miejsce, ponieważ na trzymanej przez niego części był widoczny fragment linii.

Bruno pochylił się i dostrzegł, że wraz z wycinkami prasowymi na miękkim, wełnianym dywanie wypadł również mały przedmiot wielkości paczki papierosów. Był on zawinięty w papierową chustkę i opleciony gumką. Po rozpakowaniu zawiniątka Bruno zorientował się, że jest to cyfrowy dyktafon. Ożywiony nadzieją znalezienia na nim czegoś istotnego wstał i pośpiesznie podszedł do biurka.

Usiadł w fotelu i kładąc oba łokcie na blacie, w trzymanym przed oczami urządzeniu nacisnął przycisk „power”. Wyświetlacz dyktafonu nie zareagował. Kolejne próby włączenia go również się nie powiodły. Na wszelki wypadek wymienił znajdujące się w nim baterie, ale to także nie przyniosło oczekiwanego skutku.

Zauważył, że dolny róg kartonowego pudła, w którym leżał, nosi zaschłe ślady wilgoci. Prawdopodobnie więc dyktafon uległ zamoczeniu.

Spojrzał na zdjęcie z uśmiechniętą twarzą kumpla... Nie. To niemożliwe, żeby coś stało się osobie, która zawsze wychodziła cało z każdej opresji – pomyślał.

Przypomniał sobie o włamaniu, które miało miejsce wczorajszej nocy. Przecież dokładnie w tym pomieszczeniu znajdowało się wcześniej biuro detektywistyczne Tomasza. Czyżby miało ono związek z prowadzonym przez niego śledztwem w sprawie Laury?

Postanowił, że dziś uda się na komisariat i przekaze teczkę, z całym zebrany w niej materiałem, policjantowi prowadzącemu sprawę. Miał również nadzieję, że przy okazji dowie się czegoś więcej.

DZIEŃ CZWARTY

(PONIEDZIAŁEK)

Obudził go odgłos kropel deszczu rzuconych mocno o szybę podmuchami wiatru. Dochodziła ósma trzydzieści, ale półmrok, jaki panował, stwarzał wrażenie środka nocy. Nie widział zatem innego wyjścia, jak tylko przykryć się i obudzić w jakimś lepszym, ciekawszym świecie.

Z chwilą, gdy miał już owinąć się ciepłą kołdrą, przypomniał sobie o tym, że wczoraj nie sprawdził przygotowanych przez Kasię zleceń.

Wstał i podszedł do jej biurka. Na środku blatu leżała lista z zapisanymi przejazdami, a na niej położona była mała, owinięta w złotko czekoladka.

Przywołał w pamięci miniony wieczór i nie znalazł w nim żadnego zapisu potwierdzającego fakt zjedzenia kolacji. Oddzielając zatem rzeczy ważne od tych trochę mniej ważnych, sięgnął po starannie zapisany plan dnia, czując, jak cukierek rozpuszcza się w jego ustach.

„Godzina 10.00 – pani Sonia Roleski – lotnisko Gdańsk”. Poniżej zapisany był adres i kolejne zlecenie, którego już nie czytał, koncentrując uwagę na pierwszym.

– Pani Sonia Roleski... A, tak. – Uśmiechnął się. – Pani od „podłego drania”. Zaraz, która to... – powiedział, spoglądając raz jeszcze na zegarek. Zatem przed wyjściem nie zobaczy pani Kasi, a jej uśmiech, w tak ponury dzień, na pewno poprawiłby mu humor.

Chwilę później udał się do swojego mieszkania. Fachowcy odsyłali właśnie do poprawki metalowe schody prowadzące na antresolę, po tym, jak podczas montażu okazało się, że brakuje im jednego stopnia.

Wziął prysznic i parę minut po dziewiątej zjadł już kanapkę w aucie.

Pomimo tego, że deszcz nadal nie ustawał, Bruno był w dobrym humorze. Jak się bowiem okazało, ze schodami uporano się ekspresowo i po zaledwie godzinie zadzwonił do niego architekt, informując, że w południe ostatnie prace montażowe dobiegną końca i będzie mógł się wprowadzić. Obliczył, że po odwiezieniu pani Soni do następnego zlecenia będzie miał trzygodzinne okienko. Był to czas w pełni wystarczający na przewiezienie z biura do nowego mieszkania rzeczy osobistych, a to oznaczało, że dzisiejszej nocy będzie mógł przespać się we własnym łóżku.

W Sopocie był kwadrans przed czasem.

Już nie padało. Niebo się rozjaśniło i wyszło słońce, które zaczęło dość mocno przygrzewać przez przednią szybę pojazdu. Ochroniarz poznał auto i, zapewne powiadomiony wcześniej przez panią Roleski, od razu otworzył bramę. Rzucił tylko okiem na tylne fotele, sprawdzając, czy nie wjeżdża z nim ktoś jeszcze.

Bruno dopiero za dnia zauważył, jak rozległa jest ta posiadłość. Kort tenisowy, który udało mu się dostrzec na tyłach pałacyku, sąsiadował z bardzo ciekawym w swym kształcie, wijącym się basenem bez krawędzi, do którego prowadził duży, marmurowy taras. Na nim rozstawione były drewniane leżaki z ciepłymi kocami, przy których stały naturalnej wielkości posągi przedstawiające greckie boginie. Tworzyło to przyjemny dla oka widok i przypominało mu włoski styl śródziemnomorskich luksusowych willi.

Parkując pojazd przed głównym wejściem do budynku, do którego prowadziły długie, białe schody, dostrzegł panią Sonię. Stała na tarasie znajdującym się na pierwszym piętrze z prawej strony ściany frontowej i przycinała suche gałęzie wystające z dużych, kwadratowych donic.

Kobieta, nie podnosząc głowy, zerknęła na samochód Brunona, a następnie, nie zdradzając, że już go widzi, stanęła plecami do niego. Po chwili lekko odchyliła głowę do tyłu i unosząc obie dłonie, zaczęła

poprawiać swoje długie, ciemne włosy. Kilka sekund później odwróciła się i udając zaskoczenie na widok zaparkowanego pojazdu, pomachała do niego na powitanie.

Na wprost, w odległości około pięćdziesięciu metrów, przy niskim budynku z kamienia, otoczonym rozłożystymi, wiekowymi dębami, Bruno zauważył dwóch mężczyzn. Stali naprzeciwko siebie i rozmawiali, gestykulując przy tym zamasyście. Najwyraźniej się kłócili, bo jeden z nich kopnął ze złością w stojącą nieopodal, wypełnioną stosem liści, ogrodową taczkę. Uderzenie było na tyle mocne, że jej zawartość wysypała się na chodnik. Mężczyźni dyskutowali jeszcze krótką chwilę, po czym weszli razem do budynku przypominającego starą winiarnię.

Znajdujący się przed nim, dopieszczony z ogromną dbałością trawnik, sprawiał wrażenie zielonego, miękkiego dywanu ciągnącego się nieprzerwanie przez kilkaset metrów, aż do linii lasu.

Jeden z mężczyzn wyszedł z budynku i zatrzymał się kilka metrów za dużymi, drewnianymi wrotami. Sięgnął do przedniej kieszeni spodni, po czym wyjął z niej telefon i zaczął z kimś rozmawiać. Po upływie około minuty, w trakcie połączenia, podszedł do przewróconej wcześniej taczki i kładąc na niej stopę, odwrócił się przodem do Brunona.

Wtedy Bruno zauważył, że w drugiej dłoni trzymał on białą kulę, która wyglądała jak bila bilardowa. Przetaczając ją po ręce od nadgarstka do łokcia, wybijał ją w górę na wysokości bicepsa i ponownie chwycił w dłoń. Powtórzył ten trik trzykrotnie, do momentu, gdy drugi z mężczyzn wybiegł ze środka budynku i zawołał go do siebie. Najwyraźniej było to coś ważnego, bo tamten natychmiast schował telefon do kieszeni i podbiegł do drzwi, by zniknąć wewnątrz budynku.

W tej samej chwili, zza rosnących po lewej stronie drzew do uszu Brunona dobiegł głośny ryk silnika. Od bramy głównej z dużą prędkością nadjeżdżał srebrny, sportowy samochód. Bruno bez trudu rozpoznał model Porsche 918 Spyder. Pojazd driftował na podjeździe tuż przed domem, po

czym zatrzymał się gwałtownie kilkanaście centymetrów za zderzakiem jego land rovera, wzbijając przy tym chmurę kurzu i wyrzucając w powietrze setki drobnych kamieni. Zanim zdążyły one opaść na ziemię, usłyszał głośny dźwięk klaksonu. Żwirowy podjazd był wystarczająco szeroki, aby ten samochód mógł go bez trudu ominąć.

Bruno spojrział we wsteczne lusterko. Zobaczył w nim mężczyznę w wieku około trzydziestu lat z okularami na czole, który wymachując nerwowo rękoma, patrzył w jego stronę. Po chwili wysiadł, trzaskając drzwiami i bujając się na boki, wyraźnie zdenerwowany, zbliżał się do jego pojazdu.

Bruno otworzył szybę. Zauważył mężczyznę w białych dresowych spodniach i błyszczącej, rozpiętej do połowy klatki piersiowej, granatowej atlasowej koszuli, pod którą wisiało kilka okazałych złotych łańcuchów. Całości dopełniała kolorowa kurtka od Louisa Vuittona i rażąco czerwone buty za kostkę z leżącym na nich grubym językiem.

Mężczyzna pochylił głowę i przeżuując gumę, w sposób przypominający Brunonowi ruch szczęki wielbłąda, stanął w bezruchu, wpatrując się w niego.

– Znamy się? – zapytał, robiąc groźną minę i kładąc rękę na drzwiach samochodu w taki sposób, że jego dłoń zwisała we wnętrzu auta, eksponując dwa przesadnie duże, wysadzone kamieniami sygnety. – Bo cię nie kojarzę.

– Posłuchaj – powiedział grubym, niskim głosem Bruno, spoglądając spokojnie na mężczyznę. – Gdybyś mnie znał, zabrałbyś te damskie świecidełka z mojego auta. Jeśli jednak na siłę szukasz przyjaźni, to poczekaj, wysiądę i ci się przedstawię.

W tej chwili do uszu Brunona dobiegł kobiecy głos:

– Witam pana. Mówiłam, że niedługo się spotkamy. – Pani Sonia wolno szła po schodach.

Mężczyzna cofnął się na krok od land rovera.

– Dzień dobry pani – odpowiedział Bruno, widząc ją przez otwartą szybę, po czym włączył silnik i po przestawieniu auta o metr do przodu, wysiadł na zewnątrz. Następnie obszedł swój pojazd, niechętnie szturchnął ramieniem, ewidentnie szykującego się do riposty mężczyznę i otworzył tylne drzwi. – Pozwolę sobie zauważyć, że ładnie pani wygląda – dodał i prawdę mówiąc, nie musiał się silić na kłamstwo.

Pani Roleski naprawdę wyglądała świetnie. Nie zwracał przy tym zupełnie uwagi na młodego człowieka, który przeczesując nerwowo kieszenie w spodniach, wyraźnie nie spuszczał z niego wzroku.

– Witaj, Stefan – powiedziała pani Sonia do otwierającego właśnie usta i po raz kolejny próbującego coś powiedzieć mężczyzny. – Wyjeżdżam na parę dni, ale wejdź i zaczekaj. Oskar powinien zaraz przyjechać.

– To świetnie – powiedział Stefan, wymuszając lekki uśmiech.

Podczas gdy Bruno chował walizkę Bottega Veneta do bagażnika, pani Sonia zajęła już miejsce w aucie, skupiając się na poprawianiu obcisłej, odsłaniającej kolana, czarnej sukienki.

W tym czasie Stefan szukał czegoś pomiędzy fotelami swojego wartego ponad milion dolarów pojazdu, po czym nie znalazłszy zguby, z mocno zdziwioną miną zatrzaskał drzwi auta. Następnie wyprostował się i nabierając głęboko powietrza, w wyniku czego jego łokcie jeszcze bardziej zaczęły mu odstawać od ciała, ruszył pewnie w stronę Brunona. Dochodząc do niego, zwolnił i w drodze do schodów minął go zaledwie o parę centymetrów.

– Jeszcze będzie okazja – powiedział cicho, nie odwracając głowy.

– Zdziwisz się, jak szybko... – odpowiedział Bruno, po czym zamknął bagażnik i przykucnął na wysokości tylnego koła. Wyciągnął lewą rękę i chwycił za sznurówkę eleganckiego buta z brązowej skóry. W tym czasie prawą dłonią, przez chusteczkę, podniósł ostrożnie foliowy woreczek wielkości dwóch paczek papierosów, leżący kilkanaście centymetrów pod podwoziem jego land rovera.

Po sekundzie zajął już miejsce za kierownicą i z chwilą, gdy pasażerka dała mu lekkim skinieniem głowy znak, że może już jechać, ruszył powoli do przodu.

– Przepraszam, ale nie zdążyłam was sobie przedstawić – powiedziała pani Sonia, trzymając małe lustro przy twarzy. – To syn jednego z biznesowych przyjaciół mojego męża.

– Zdążyliśmy się już poznać – odpowiedział Bruno ze spokojem w głosie. A więc kolejny goguś – pomyślał – który dostał pieniądze od tatusia i wmówił sobie, że jest wart więcej od innych.

– Dość często bywa u mnie w agencji – kontynuowała. – Dziewczyny chyba go lubią. Odkąd go znam, zawsze otacza się pięknymi kobietami.

– No tak. Bardzo ciekawy człowiek – powiedział Bruno, pilnując się, by przez pomyłkę nie użyć słowa „dupek”. – Jakiś daleki lot? – zapytał, zmieniając temat i odwracając na moment głowę.

– Nie. Jedynie na kilka nocy do Berlina. Mamy tam dopracować jeszcze parę szczegółów w związku z pokazem, który ma odbyć się przed świętami – odpowiedziała, lecz nieco smutniejszym już głosem.

– Coś się stało? – zapytał Bruno, widząc, jak pasażerkę wyraźnie opuścił dobry humor. – Myślałem, że ta praca sprawia pani przyjemność.

– Tak, i to wielką – odparła kobieta, unosząc lewą dłoń i przykładając do ust zawieszoną na łańcuszku drobną ozdobę. Siedziała tak przez chwilę w milczeniu, patrząc w boczne okno pojazdu. – Ostatnim razem, gdy miałam lot do Niemiec, wydarzyło się coś, o czym nie mogę zapomnieć. – Pochyliła głowę i pokręciła nią, sprawiając wrażenie, jakby wyraźnie nie mogła się z czymś pogodzić. – Podczas gdy ja byłam na wyjeździe w Berlinie, tu, na miejscu, wydarzyła się tragedia. Samobójstwo popełniła moja bardzo dobrze zapowiadająca się modelka. Piękna i taka młoda. Wiązałam z nią wiele planów... – Znowu zapadła cisza, tym razem dłuższa. – Nie wiem, dlaczego to zrobiła... Miała ze mną jechać. Czekałam na nią na lotnisku, ale się nie pojawiła. Nie odbierała telefonów, a po

powrocie zobaczyłam artykuł w gazecie na pierwszej stronie. To straszne – dodała, pochylając głowę.

– Jak miała na imię ta dziewczyna? – zapytał Bruno, lekko hamując.

– Laura. Laura Long – powiedziała Sonia, wyjmując z torebki chusteczkę i delikatnie, tak by nie rozmazać nią makijażu, dotknęła jej rąbkiem prawego oka.

Resztę drogi przebyli już w milczeniu.

Miał do niej jeszcze kilka pytań, ale widząc szklące się duże oczy, postanowił poczekać z nimi do czasu jej powrotu. Zwłaszcza że poprosiła, aby zjawił się na lotnisku za kilka dni.

Gdy byli już na miejscu, Bruno pomógł pani Soni przenieść walizkę. W czasie gdy przechodzili przez terminal, kobieta zwierzyła mu się, że dopiero poznaje Trójmiasto, ponieważ zaledwie od roku, po przeprowadzce z Wrocławia, mieszkają w Sopocie. Przyznała, że zawsze lubiła bliskość wody, a że od małego wychowywała się nad jeziorem w małej miejscowości niedaleko Olsztyna, bardzo ucieszyła ją ta zmiana.

Przy bramkach kontroli celnej podała mu dłoń na pożegnanie. Wyjeżdżając z terenu lotniska, zastanawiał się, jak pani Sonia mogłaby mu pomóc w sprawie Laury i co takiego wydarzyło się, że nie pojawiła się ona na lotnisku. Spokoju nie dawała mu myśl, co mogłoby skłonić tak młodą, dobrze zapowiadającą się modelkę do odebrania sobie życia?

Tom podjął się tej sprawy – pomyślał – w takim razie pewne jest, że nie do końca był przekonany o jej samobójstwie?

W drodze powrotnej podjechał jeszcze do baru, gdzie w pół godziny uporał się ze sporym i całkiem smacznym daniem kuchni izraelskiej. Następnie zajrzał do komisariatu, gdzie od dyżurnego dowiedział się, że Gregory prowadzący sprawę zaginięcia jego przyjaciela, jest aktualnie w terenie i prawdopodobnie wróci dopiero wieczorem. Zostawił dla niego teczkę Tomka wraz z jej zawartością, a w szczególności z dyktafonem.

Wychodząc z budynku, wpadł na Gregory'ego, gdy ten wbiegał po

schodach. Miał do niego pewną prośbę i po tym, jak wytłumaczył szczegółowo, o co chodzi, przekazał mu niewielki pakunek.

W chwilę później udał się do swojego samochodu i po około pół godzinie zaparkował pod adresem, pod którym fachowcy już od kilku tygodni, z obiecaną dbałością o każdy detal, dopieszczali jego mieszkanie.

Tym razem wszedł głównymi drzwiami.

Stanął dwa metry za progiem i powoli rozejrzał się wokół siebie. Najważniejszym pomieszczeniem tego wysokiego na ponad sześć metrów loftu był salon. Brunonowi bardzo zależało na tym, by zachować klimat zabytkowego wnętrza, dodając do niego kilka nowoczesnych elementów. Ściany pokrywała oryginalna dziewiętnastowieczna cegła, a pomieszczenie oświetlały lampy w stylu industrialnym.

W pobliżu trzech dużych okien w kształcie kwadratów o boku prawie trzech metrów, podzielonych szprosami na kilkadziesiąt mniejszych, wisały srebrne grzejniki pomalowane na wysoki połysk. Pośrodku, przy szarym dywanie z krótkim włosem, stały złączone ze sobą dwie sofy w kształcie połączonych liter „L” przeznaczone na około dziesięć osób. Na przeciwległej ścianie zawieszony był duży panoramiczny telewizor. W niewielkiej odległości za sofą, w rogu pomieszczenia, znajdował się dobrze wyposażony, podświetlany błękitnym światłem, barek z białego mrożonego szkła. Tuż obok niego, po lewej stronie, na stalowo-szklanej konstrukcji zawieszonej na wysokości trzech metrów, urządzona była sypialnia. Prowadziły do niej spiralne metalowe schody, na wprost których, obok czarnego, szerokiego łóżka, znajdował się worek bokserski, a pod dużym lustrem leżały dwie niklowane sztangielki.

Pod podłogą sypialni mieściła się biała, otwarta na salon kuchnia z wysepką.

Bruno zadowolony i – co nie zdarzało się często – przeświadczony o tym, że po raz pierwszy chyba zapłacił uczciwą cenę za świetnie wykonaną robotę, wsiadł do land rovera i ruszył pod kolejny adres. Po

kilkunastu minutach był już na miejscu.

Klient, bardzo dostojny pan, jak wynikało z prowadzonych przez niego później telefonicznych rozmów – lekarz – zamówił kurs do Kalu, małej, uroczej wsi położonej na półwyspie, pomiędzy jeziorami Mamry i Świącajty.

Właśnie wziął urlop, więc ze spokojem i powagą w głosie oznajmił, że przez najbliższy tydzień ma zamiar „walić wódę” z kolegami przy wędkach i dodał, poklepując Brunona po prawym ramieniu:

– Nie zapomnij o mnie, bo za kilka dni będziesz potrzebny do transportu tego, co ze mnie zostanie.

Po kilku połączeniach telefonicznych, w trakcie których dobrze już wstawieni towarzysze pana doktora próbowali mu wytłumaczyć, gdzie dokładnie mają podjechać, samochód w końcu dotarł na miejsce.

– A oto i moi poszukiwacze zaginionej Warki! – powiedział z nieukrywaną radością pasażer, wysiadając z pojazdu.

Podczas gdy ekipa prowadziła spór, czy suma łatwiej łowić na żywca, czy na martwą rybkę, czy łowienie ryb to hobby, czy już raczej sport, Bruno obserwował, jak szybko krąży pomiędzy nimi kieliszek i zrozumiał, że uprawiając wędkarstwo, albo trzeba mieć żelazne zdrowie, albo umieć się samemu leczyć. A skoro byli tu mężczyźni, którzy znali się na tym najlepiej, pożegnał ich ze spokojem. Odjeżdżając, usłyszał jedynie zza auta, trochę już bełkotliwy, lecz wyraźnie oburzony głos jednego z towarzyszy pana doktora:

– Kogoś ty tu se sobą przywiózł... Dareczku? Opuścił tfie kolejki. Może chory? To mu się wypisze...

Powrót do Gdańska z powodu zatoru na drodze zajął trochę więcej czasu. Na szczęście Bruno nie miał już dzisiaj żadnych zleceń. Musiał jednak przemyśleć parę spraw, a nic tak nie pomagało w tej czynności – co też często powtarzał jego dziadek – jak dobra szklaneczka.

Ludzie nie doceniają czasem mądrości płynących z życiowego

doświadczenia starszych – pomyślał – a to duży błąd. Na szczęście on do takich osób nie należał.

W Gdańsku był około dwudziestej pierwszej.

Z powodu braku miejsca w pobliżu biura, krążył przez pewien czas ciasnymi uliczkami miasta, aż w końcu zaparkował auto trochę dalej niż zazwyczaj. Nie zmartwił się tym jednak, ponieważ wiedział, że mały spacer przez miasto, po wielu godzinach spędzonych za kierownicą, dobrze mu zrobi.

Był przyjemny, dość ciepły jak na połowę grudnia, wieczór. Miasto powoli zaczęło błyskać kolorowymi lampkami, które oświetlały piękne zabytkowe fasady kamieniczek, ozdobionych postaciami antycznych bohaterów, herbami i zwieńczonych bogato rzeźbionymi attykami.

Ociekające złotem witryny sklepowe informowały o przedświątecznych promocjach i Stare Miasto powoli wypełniała aura zbliżających się świąt.

Nawet w pubie, muzyka *chillout* była co jakiś czas przeplatana amerykańskimi świątecznymi przebojami z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Przywodziły one Brunonowi na myśl stare, świetne filmy, ich klimat, muzykę, wspaniałą grę aktorów, eleganckie ubrania i przekaz, które niosły, czyli to wszystko, czego na próżno szukać w większości dzisiejszych „dzieł”. Za film „It’s a Wonderful Life” – pomyślał i wziął tylko niewielki łyceczek, bo właśnie wyczuł wibrujący w kieszeni telefon.

Spojrzał na wyświetlacz: „Kasia-Biuro”.

– Tak? Słucham, pani Kasiu – odezwał się, odkładając szklankę na tekturową podkładkę.

– Dobry wieczór, panie Bruno. Przepraszam, że przeszkadzam. Wiem, że już późno, ale pomyślałam, że to może być dla pana ważne – powiedziała i słychać było, jak wertuje kartki w notesie. – Przed momentem zadzwoniła jakaś pani Reni. Nie była zbyt rozmowna. Przekazała jedynie informacje: „Jutro o dziewiętnastej. Gdynia – Kamienna Góra”. Po czym zakończyła

rozmowę. Wnioskuje, że chce się z panem spotkać. Zna ją pan?

– Nie, ale mam zamiar poznać.

– Już sprawdziłam. Nie ma pan w tych godzinach żadnych zleceń.

– Dziękuję, pani Kasiu – odpowiedział Bruno, któremu zrobiło się jakoś przyjemniej, gdy słuchał jej głosu.

– Jutro też, jeśli nie ma pan nic przeciwko, zostanę dłużej w biurze. Mój chłopak... – Na chwilę zamilkła, po czym głęboko westchnęła i kontynuowała: – Nie przyjedzie w tym miesiącu. Od początku byłam przeciwna jego wyjazdowi do Grecji. Spokojnie mógł znaleźć pracę tutaj. Miał nawet ciekawe oferty. Trochę się o to posprzeczałyśmy... i w ogóle ostatnio jakoś nie bardzo nam się układa – dodała, pociągając lekko nosem.

Ponownie zapadła cisza.

Wiedział aż za dobrze, że okres przedświąteczny to czas, kiedy ludzie bardziej niż kiedykolwiek potrzebują bliskości drugiej osoby. Dzięki temu nawet największe problemy, z perspektywy chwil spędzonych w gronie najbliższych, tracą na znaczeniu.

– Na pewno wszystko się wam jakoś ułoży – powiedział i chcąc ją jakoś pocieszyć, dodał, choć sam nie bardzo w to wierzył: – A może po prostu chce zrobić pani niespodziankę i jednak przyjedzie.

– Być może... – powiedziała cicho kobieta, jednak bez przekonania w głosie.

Brunona trochę zdziwiło to, że Kasia zwierza mu się z tak osobistych spraw. Wcześniej nigdy nie poruszali takich tematów, w sumie poznali się niedawno i niewiele ze sobą rozmawiali. Poczuli się jakoś wyjątkowo, a świadomość, że ma do niego zaufanie, w pewnym stopniu go dowartościowała.

– Miłego wieczoru, panie Bruno. Przyznam, że jestem już trochę zmęczona tym wszystkim. Przepraszam, że zwracam panu głowę takimi głupstwami. Wracam do domu, muszę się przespać.

– Zawsze, gdy będzie miała pani jakiś problem, proszę się nie

krępować... – powiedział. – I mimo wszystko życzę spokojnej nocy, pani Kasiu. Do zobaczenia jutro.

Bruno wziął do ręki szklankę i przesunął się do tyłu, zapadając głębiej w skórzany fotel. A jednak pani Reni zgodziła się na spotkanie. Może uda mi się od niej dowiedzieć czegoś więcej na temat Laury – pomyślał, przyglądając się dwójce młodych ludzi zamawiających przy barze alkohol. Od kilku minut uparcie tłumaczyli oni barmanowi, że nie mają dowodów osobistych przy sobie, ale w razie potrzeby mogą donieść je jutro.

– To zapraszam was serdecznie jutro – powiedział spokojnym głosem barman. – Mamy otwarte do późna.

Dwoje młodych mężczyzn skierowało się w stronę wyjścia i nie odwracając głów, z nieukrywanym oburzeniem dodali:

– Dowody będzie oglądał! – powiedział ten niższy.

– Co to jest? Komisariat czy bar?! – dorzucił jego towarzysz, podciągając wysoko rękawy grubej wełnianej kurtki.

Bruno wypił ostatni łyk whiskey i wstając od stolika, postanowił, że dzisiejszej nocy prześpi się jednak w biurze. Było nieco bliżej, a jedyna rzecz, o której teraz marzył, to jak najszybciej przykryć się kołdrą i zasnąć.

DZIEŃ PIĄTY

(WTOREK)

Dzisiejszą noc Bruno mógłby z pewnością zaliczyć do tych, po których szczerze żałował, że w ogóle kładł się spać. Zerwał się z łóżka i jeszcze przez kilka minut siedział na nim w ciemności, czując rwący ból w okolicach prawych żeber.

Od prawie roku dręczył go koszmar, w którym powtarzał się jego ostatni dzień służby:

...po raz kolejny szedł wraz z partnerem ciemnym, długim korytarzem, znajdującym się na poddaszu starej, niezamieszkałej już od lat kamienicy.

Czasem budził się przy drzwiach, za którymi wszystko się wydarzyło, ale tej nocy nie miał tyle szczęścia i Ikelos – jeden z bogów koszmarów sennych – zafundował mu go w pełnej wersji, z niespotykanym dotąd realizmem.

Bruno usłyszał głuchy jęk, a kiedy się odwrócił, zauważył partnera szamoczącego się na wysokości dwóch metrów od podłogi z dłońmi próbującymi chwycić za stalową linkę zaciskającą się wokół jego szyi.

W pierwszej sekundzie zamierzał ruszyć mu z pomocą, ale zza pleców dobiegł do jego uszu odgłos głośnego, chrapliwego krzyku i ciężkich, zbliżających się szybko w jego stronę kroków. Odwrócił się i chciał unieść dłonie trzymające broń, ale było już na to za późno. Ogromny, prawie dwumetrowy, otyły gość, z długimi do ramion czarnymi włosami i obrośniętym torsem, jak na swoje gabaryty przemieścił się wyjątkowo szybko, bo już po chwili stał tuż za Brunonem. Kątem oka zauważył jedynie

zamach lewej ręki tamtego i towarzyszący mu błysk noża. Ostrze uderzyło mocno w wąską kieszeń, umieszczoną na piersi jego kamizelki taktycznej, wewnątrz której znajdował się dodatkowy magazynek. Prześlizgując się po nim i nadal z dużą siłą przesunęło się po kodurze, po czym natrafiło na siatkę kamizelki, przecięło ubranie i raniło go pod prawym łokciem. W tej samej chwili poczuł mocne uderzenie głową w okolicę prawej skroni.

Upadł na betonową podłogę. Leżał na boku, twarzą w jakimś gruzie. W promieniu latarki, którą jego partner wypuścił z dłoni, a której światło padało teraz długą smugą na posadzkę, spostrzegł, że jest ona mokra, zaś w powietrzu unosi się charakterystyczny zapach benzyny. Znajdująca się wokół niego słoma również była nią polana.

Spojrzał na wielką górę bladego cielska. Zauważył moment, w którym kolos, sapiąc coraz głośniej, jakby w narastającym podnieceniu, sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej zapalniczkę. Bruno na skutek mocnego uderzenia w głowę nadal był oszołomiony i widział go niewyraźnie, jakby przez mgłę. Pomimo silnego bólu, podniósł rękę, próbując wycelować w niego bronią. W tym momencie zobaczył niewielki błysk iskry i dostrzegł trzymany, w jego drugiej dłoni, kawałek szmaty. Sekundę później po raz kolejny usłyszał charakterystyczny odgłos przesunięcia się mechanizmu kółka trącego, po kamieniu. Ujrzał jasny płomień, który rozświetlił bordową, spoconą z wrażenia twarz mężczyzny, ukazując jego wybałuszone, silnie przekrwione oczy.

Bruno pociągnął dwukrotnie za spust. Zapalniczka zgasła. Tamten cofnął się jedynie o pół kroku, tak jak gdyby nie zrobiło to na nim większego wrażenia i nadal, lecz tym razem z głośnym, pełnym zniecierpliwienia nerwowym krzykiem, próbował wykrzesać ogień.

Padły kolejne trzy strzały.

Przez chwilę panowała głucha cisza, w tym czasie napastnik opuścił wzdłuż ciała swoje wielkie, rażąco białe dłonie. A wtedy Bruno, próbując nieudolnie podnieść się z podłogi, usłyszał głośny pomruk niezadowolenia

połączony z cichym jękiem. Ogromna głowa odwróciła się powoli w jego kierunku. Mężczyzna uniósł prawą rękę i palcem wskazującym wycelował w jego stronę. Przez moment patrzył, poruszając ustami. Coś mówił, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego słyszalnego dźwięku. Po chwili przyłożył palec do swojej skroni, potrząsnął dwukrotnie dłonią w sposób symulujący oddanie strzału z pistoletu i uśmiechnął się do Brunona.

Ten spojrział w górę. Ze zdziwieniem zauważył, że w wyrazie twarzy napastnika nie było zawodu ani złości, lecz pozostała ona bardzo spokojna, jak gdyby wszystko poszło zgodnie z planem. Bruno w jednej chwili zrozumiał, co mężczyzna chciał mu przekazać. Kątem oka dostrzegł, że na drzwi, którymi weszli, osunęła się gruba betonowa płyta. Zatem w razie pożaru to pomieszczenie byłoby pułapką bez wyjścia dla całej trójki. Tamten najwyraźniej już wcześniej postanowił zakończyć swoje chore życie.

W jego oczach można było wyczytać coś jeszcze. Doskonale wiedział, że tej ostatniej nocy był od nich lepszy.

Stał jeszcze kilka sekund nieruchomo, po czym odchylił się do tyłu i upadł głośno na plecy niczym wielka zwalona kłoda.

Bruno wstał, przyciskając lewą dłoń do mocno już krwawiącej rany. Następnie zacisnął zęby i podbiegł do ściany pokrytej kolorowym graffiti. Tuż przy niej, z sufitu zwisały duże betonowe krążki, tak zwane dropsy, podobne do tych, które naciągają kolejowe przewody trakcyjne, a które teraz, poprzez system bloczków, działały jako przeciwwaga. Wyjął z kieszeni niewielkie narzędzie wielofunkcyjne i szczękami przeciął naprężoną metalową linkę. Partner, krztusząc się, upadł na podłogę...

Bruno siedział jeszcze przez chwilę na sofie, po czym spojrział na zegarek. Nastawił budzik na siódmą piętnaście, ale dochodziła dopiero szósta. Pomimo tego, iż pani Kasia pierwszy kurs zapisała na dziewiątą trzydzieści, wiedział, że nie będzie mu dane dłużej pospać. Wczoraj, na kilku odcinkach

remontowanej trasy, jadące błotnistą nawierzchnią ciężarówka całkowicie zachłapały karoserię jego auta.

Jakby tego było mało, podchodząc do pojazdu, zauważył, że niefortunnie zaparkował pod drzewem, na którym rozwolnienia dostała chyba połowa ptactwa z miasta.

Podjechał do swojego mieszkania. Zjadł pożywne śniadanie i zabrał się do sprzątnięcia wnętrza auta.

Grafik był dzisiaj dość napięty, dlatego nie zapomniał zabrać ze sobą również czegoś do zjedzenia na później.

Oprócz jednego kursu z lotniska, przez cztery godziny jeździł pomiędzy hotelami z Gdańska do Gdyni. W międzyczasie, gdy wypadł jeden z kursów, udało mu się zrobić przerwę na ciepły obiad, a około czternastej zadzwonił do niego Gregory z komisariatu w Gdańsku. Poinformował go, że niestety specjalistom nie udało się nakłonić do mówienia przyniesionego przez niego dyktafonu oraz że we wspomnianej sprawie nie ma chwilowo żadnego postępu.

To zmartwiło Brunona i przez resztę dnia nie mógł się dostatecznie skupić na pracy. Myślał jedynie o wieczornym spotkaniu z dziewczyną z klubu nocnego.

W Gdyni Bruno był o godzinie osiemnastej trzydzieści. Zaparkował pojazd przy Sea Tower i minąwszy skwer Kościuszki, skierował się w stronę wzgórza morenowego.

Po mniej więcej dwudziestu minutach jasno oświetloną alejką doszedł do Kamiennej Góry. Wokół było już ciemno. Oszkloną, zewnętrzną windą dostał się na górę.

Na szczycie, znajdował się taras widokowy ze stojącym tam metalowym, dwudziestopięcotonowym krzyżem. Pod nim, od pewnego już czasu, jakiś nastolatek próbował na deskorolce triku ollie i po niezliczonej ilości nieudanych skoków udało mu się w końcu wykonać go bezbłędnie,

czego nie omieszkał oznajmić radosnym okrzykiem:

– Wreszcie, kurwa!

No ładnie... To tego teraz uczą w szkole – pomyślał Bruno. – Wyrwałości.

Następnie chłopak dumnie zabrał deskę i zjechał windą w dół wzgórza.

Bruno rozejrzał się wokoło. Poniżej linii drzew, które gęsto porastały wzniesienie, w odległości kilkuset metrów od miejsca, gdzie stał, zauważył jedynie oddalającą się parę trzymającą się za ręce. Jednak w pobliżu nikogo więcej nie widział.

Spojrzał na zegarek. Było już po czasie. Dochodziła dziewiętnasta dwadzieścia pięć. Postanowił poczekać jeszcze kwadrans.

Uniósł głowę i spojrzał w niebo. Na ciemnografitowym sklepieniu z łatwością można było dostrzec gwiazdy. Im dokładniej im się przyglądał, tym więcej zauważał kolejnych.

Pamiętał, że już jako dziecko lubił kłaść się w ciepłe, bezchmurne wieczory u dziadków na dachu garażu. Był on pokryty czarną, nagrzaną za dnia papą. Bruno zabierał ze sobą tyle papierówek, ile tylko był w stanie zmieścić w dłoniach, wdrapywał się na górę i leżał tam do późnej nocy, wpatrując się w niebo. Pomagało mu to zawsze, gdy tylko miał kłopot lub dręczyło go jakieś zmartwienie. Wpatrując się w tę bezkresną otchłań, uświadamiał sobie, że jego problemy nie mogą być aż tak wielkie, skoro cała nasza planeta jest jedynie małą drobiną we wszechświecie.

Podciągnął lekko rękaw płaszcza. Wskazówki powoli zbliżały się do godziny dwudziestej. A więc już nie przyjdzie – pomyślał.

Czekał przez dłuższą chwilę na windę, ale z jakichś przyczyn nie wyjeżdżała ona na górę. Po upływie około pięciu minut postanowił zejść ze wzgórza pieszo i skierował się w stronę ciemnej, gęsto zalesionej ścieżki prowadzącej schodami stromo w dół.

Będąc mniej więcej w połowie zejścia, wyczuł w kieszeni wyraźne wibracje. Przystanął na moment i wyciągnął telefon. Nacisnął klawisz

z zieloną słuchawką. Ekran zaświecił się, jednak Bruno ze zdziwieniem stwierdził, że nie miał żadnego połączenia. Już kiedyś spotkało go coś podobnego, tak zwany syndrom wibrującej kieszeni.

Telefon rozświetlił lekko okolicę, a wraz z nią ciemną ławkę w bocznej alejce. Bruno spojrział w jej kierunku i zauważył siedzącą na niej drobną postać w założonym na głowę kapturze.

– Pan Bruno? – odezwał się cienki dziewczęcy głos.

– Zgadza się – odpowiedział lekko zaskoczony i chowając telefon do kieszeni spodni, podszedł bliżej.

– To ze mną chciał pan rozmawiać – powiedziała dziewczyna, spoglądając na zegarek. – Mam tylko parę minut.

Bruno, nie tracąc czasu, usiadł obok niej. Pomimo panującej wokół ciemności widział, jak trzymała ręce na kolanach, nerwowo zaciskając dłonie.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – dodała zaniepokojonym głosem – ale miałam wrażenie, że ktoś za mną idzie. Wtedy w klubie nocnym widziałam pana, gdy stał pan przy barze. Byłam w pracy, ale poprosiłam Alana, naszego barmana, aby skłamał, gdy ktoś będzie o mnie pytał. A wiem, że ktoś oprócz pana szukał mnie jeszcze i po wyjściu policji również przyszedł. Już tam nie pracuje – powiedziała, poprawiając dłońmi włosy, które przysłoniły jej twarz.

– Jak pani myśli – zapytał Bruno – dlaczego ktoś pani szuka?

– Wszystko zaczęło się po wycieczce do Wrocławia – kontynuowała, podnosząc głowę. – To tego właśnie dnia poznałam Laurę. Rozmawiałyśmy sobie i bardzo szybko się polubiłyśmy. Gdy siedziałam z nią i jej koleżanką na Rynku, jakiś gość podszedł do nas. Powiedział, że reprezentuje bardzo wpływową osobę z branży modowej i że zawodowo zajmuje się wyszukiwaniem modelek. Przyznał, że przyglądał nam się już od dłuższego czasu i że jego zdaniem mamy potencjał. Po tym, jak wymienił nam kilka krajów, w których pracują na wybiegach wyłowione przez niego talenty,

zapytał, czy może zrobić nam kilka zdjęć. Później poprosił o kontakt, pod którym mógłby przekazać nam informacje, czy mamy szansę na pracę w agencji. Od razu mi się nie spodobał. Bardzo pewny siebie i miał coś takiego w spojrzeniu... – Dziewczyna westchnęła z niepokojem. – Prosiłam Laurę, żeby odpuściła, ale ona nakręciła się już na dobre. Później jednak dowiedziałam się, że jej zdjęcia trafiły do pani Soni. To nowa osoba w tej branży na Pomorzu. Od niedawna ma swoją agencję modelek w Gdańsku, gdzie projektuje również ubrania. Zamierza nawet stworzyć swoją własną markę. Pani Sonia zatrudniła ją u siebie. Od tego momentu Laura stała się małomówna i jakby się czegoś bała. Nie wiem, co było tego powodem. – Dziewczyna obejrzała się nerwowo za siebie. Bruno zauważył, że była bardzo niespokojna. – Za parę dni wyjeżdżam z tego miasta. Bardzo już tęsknię za moim pokojem z widokiem na mostek i chłopakiem przechodzącym przez rzekę, który zaglądał do mojego okna każdego ranka. Tu zrobiło się trochę za duszno dla mnie – dodała, otwierając dłonie i przesuwając je po kolanach tak, jakby wycierała się w spodnie.

– Proszę się jednak dobrze zastanowić – poprosił – co takiego może pani wiedzieć, że komuś zależy na spotkaniu z panią?

– Naprawdę nie wiem – powiedziała, wzruszając ramionami.

– A kiedy widziała pani Laurę po raz ostatni?

– Z początku, odkąd podjęła pracę, była bardzo zajęta, ale to jej wcale nie męczyło, a wręcz przeciwnie – każdego dnia była pełna energii. Obawiałam się, że może coś bierze. Nie widziałyśmy się na trzy tygodnie przed tym okropnym wydarzeniem. Poza tym mam ogromne wyrzuty sumienia, bo na kilka dni przed... – Na chwilę zapadła cisza, podczas której przetała oczy dłońmi. – Zadzwoiła do mnie i poprosiła, żebym do niej zajrzała. Miała gorączkę, a na jej szyi pojawił się jakiś rumień. Bardzo się tym przejęła, bo dwa dni później miała mieć ważną sesję do jakiegoś magazynu. Nie znalazłam dla niej czasu i bardzo teraz tego żałuję.

– Później już się nie widziałyście?

– Nie. Już nie – odpowiedziała, spuszczać głowę. – Może to nic ważnego, ale...

Bruno odwrócił się twarzą do niej. Wiedział, że czasem na pozór mało istotne rzeczy mogą okazać się później bardzo przydatne.

– Laura dzwoniła do mnie na kilka godzin przed wylotem do Berlina. Miała dużą treść, bo to miał być jej pierwszy kontakt z osobami tak bardzo liczącymi się w tej branży, ale jej zdenerwowanie wynikało również z innego powodu. Zdradziła mi, że ma dla pani Roleski bardzo ważną wiadomość, po przekazaniu której uwolni się od czegoś, co zadręcza ją od dłuższego już czasu, i że skończą się jej kłopoty. Nie wiem, jakie miała problemy i o co jej chodziło, bo nie chciała mi powiedzieć. W tym dniu była też po ostrej kłótni, podczas której zerwała znajomość z jednym facetem. Spotykali się od kilku tygodni. Jeździł z nią na sesje i bawili się nocami po klubach. Taki bogaty synek byłego senatora z południa Polski. Wszyscy jej go zazdrościli. Nie miałyby z nim źle – luksusowy apartament z tarasem zaraz nad morzem, piękne auto. Raz przejeżdżałam nawet obok tego miejsca. Mieszka w Sopocie Dolnym. Ale to był taki Guccio, co skakał z kwiatka na kwiatek.

– Wiesz może, jak miał na imię?

– Mówili na niego Steve, ale tak naprawdę to Stefan Ekiert. A, i jeszcze coś... Na krótką chwilę przed wyjściem Laura zadzwoniła do mnie, mówiąc, że jej plany uległy zmianie i zamiast na lotnisko ma podejść pod Ergo Arenę, gdzie będzie na nią czekał samochód. Miała nim dojechać bezpośrednio na miejsce. Wieczorem dostałam jeszcze SMS-a. Napisała w nim, że wyłącza komórkę, bo właśnie podjechało jakieś auto, dodając, żebym trzymała za nią kciuki.

– Była pani z tym na policji?

– Nie. Nie byłam. Nie za bardzo się lubimy. Kilka miesięcy temu, podczas nalotu na nasz lokal, jeden z nich obszedł się ze mną niezbyt delikatnie, a ja nie pozostałam mu dłużna i miałam przez to kłopoty.

Wiedziałam jednak, gdzie mieszka pracodawczyni Laury. Była u niej ze Steve'em na tydzień przed niedoszłym wyjazdem. Pamiętam, że dzwoniła do mnie tego samego dnia, nie mogąc zasnąć na samą myśl o przepychu, jaki tam widziała. Obiecała sobie, że kiedyś też będzie miała taki dom. Napisałam anonim, w którym opisana była moja ostatnia rozmowa z Laurą, i zostawiłam go ochroniarzowi na bramie z prośbą, by przekazał go pani Soni Roleski. Kilka dni po tym, jak wyłowili Laurę z morza, w klubie pojawił się pewien mężczyzna. Szukał mnie i chciał ze mną rozmawiać.

– To był ktoś z policji?

– Na początku też tak pomyślałam, ale później okazało się, że to prywatny detektyw próbujący wyjaśnić sprawę jej śmierci. Nie wiem, jak do mnie trafił. Laura była mi bardzo bliska, dlatego zgodziłam się z nim porozmawiać. Właśnie wróciłam z wycieczki po lesie i nie zdążyłam się jeszcze przebrać. Starłam się schować pod krzesło moje zabłocone buty, ale je zauważył. Zadawał mi pytania i coś notował w trakcie, gdy jadłam kebab. Pamiętam, że bardzo się spieszyłam i niechcący poplamiałam sobie spódniczkę sosem. – Dziewczyna zaśmiała się lekko.

– Jesteś w stanie przypomnieć sobie, o co cię pytał?

– Tak. O to, kiedy i gdzie się poznałyśmy, czy zauważyłam coś niepokojącego w jej zachowaniu i takie tam... Opowiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, i to, że Laura była moją najlepszą przyjaciółką, a on wtedy powiedział, że ma dowody na to, że to nie było samobójstwo. Bardzo się tym faktem zdziwiłam, ponieważ znałam dobrze Laurę i zauważyłam, że w ostatnich tygodniach zaczęła się dziwnie zachowywać. To była zupełnie inna osoba niż ta, którą znałam. Zrobiła się jakaś dzika i pomyślałam, że może nie dała sobie już z tym wszystkim rady, więc niestety pogodziłam się z wersją policji.

– Detektyw wspomniał może, jakie dowody miał na myśli?

– Zapytałam go, ale od razu zmienił temat. Po kilku dniach przypadkiem natrafiłam na artykuł dotyczący branży modowej, w którym pani Sonia

wspomniała o swojej agencji w Gdańsku. Zawsze chciałam zostać modelką. Wie pan, piękne ubrania, wystawne bankiety, błysk fleszy – powiedziała wyraźnie podniecona, unosząc głowę i spoglądając w kierunku Brunona. On skinął jedynie, nie chcąc przerywać jej wypowiedzi. – Poszłam do niej, do agencji. Nie było to łatwe, ale udało mi się spotkać z nią osobiście. Opowiedziałam jej o tym, jak blisko byłam z Laurą. Zauważyłam, że ona również bardzo przeżyła tę tragedię. Kiedy wspomniałam o prywatnym detektywie i o tym, że jak twierdził, miał dowody na to, że było to morderstwo, pani Sonia o mało nie zemdląła z wrażenia. Pamiętam, że upuściła nawet kolczyk, który właśnie zakładała. Znalazłam go w grubym, wełnianym dywanie – powiedziała dumnie. – Był z białego złota, cały wysadzany diamentami. Takie małe cacuszko od Staviori’ego. Ona nadal chodziła nerwowo po swoim biurze, długo nad czymś myślała, aż w końcu powiedziała mi, żebym przekazała detektywowi pewną informację. Miałam mu powtórzyć, że za komplet zebranych przez niego dowodów, wskazujących sprawcę, jest w stanie zapłacić każde pieniądze. Chciała je zdobyć i zanieść na policję. Poprosiła mnie, abym ponownie się z nim spotkała. Najwidoczniej nie chciała się w to osobiście angażować. Miałam mu jednak nie mówić, kto mnie przysłał.

– Spotkaliście się?

– Tak. – Dziewczyna kiwnęła głową. – Pięć dni później, w lokalu, w którym pracowałam. Zgodził się na to i podał całkiem sporą sumę. Na przekazanie umówiliśmy się w miniony czwartek. Miał być o godzinie dwudziestej drugiej w parku Reagana w Gdańsku, przy pomniku papieża.

– Doszło do wymiany?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Czekałam na niego przez godzinę, niestety nie przyszedł. Od tej pory nie widziałam go już ani razu. Pani Sonia była na mnie bardzo zła. Mówiła, że wszystko zmyśliłam po to, by dostać się do jej otoczenia. Na zakończenie powiedziała, abym zapomniała o naszej rozmowie, i wygoniła mnie.

Dlatego bardzo mi zależy na tym, żeby to jakoś naprawić. Wiem, że za dostarczenie dowodów, które pozwolą ukarać winnych, jest gotowa zapłacić nawet dwa razy więcej, niż chciał detektyw. Czy pan kontynuuje tę sprawę? – zapytała, spoglądając z nadzieją w kierunku Brunona.

Ten zawahał się przez chwilę.

– Bo jeśli tak... – ciągnęła – i jeśli detektyw przekazał panu coś istotnego, to za moim pośrednictwem może to trafić do pani Soni, a panu na pewno się to opłaci.

– Pomówimy o tym jeszcze – odpowiedział. Wiedział dobrze, co zawiera teczka, którą znalazł w rzeczach Tomka, i to, że po tym, jak nie udało się odzyskać nagrań z dyktafonu, prawdopodobnie nie ma w niej nic przydatnego. Nie zamierzał jednak teraz tego zdradzać. Z przerażeniem zdał sobie bowiem sprawę z faktu, że jeżeli Tomasz został porwany i jest przetrzymywany w jakimś miejscu, to do czasu, kiedy sprawcy są przekonani, że zawiera ona obciążające ich dowody, jest szansa, że zostawią go przy życiu.

– Jest jeszcze coś – powiedziała Reni, dotykając dłońmi ręki Brunona. – Po śmierci Laury nasza przyjaciółka... – Nagle przerwała, unosząc się lekko na ławce i spoglądając w dół ciemnej, długiej alejki, skąd dobiegł niewielki hałas. Na jej końcu, w odległości około pięćdziesięciu metrów, widać było sylwetki dwóch nerwowo rozglądających się wokół siebie mężczyzn. Po chwili zaczęli oni iść schodami na górę. Bruno również im się przyglądał.

– Może lepiej odwiozę panią do domu. Możemy porozmawiać w aucie – powiedział i odwrócił głowę w kierunku dziewczyny, ale obok niego nie było już nikogo.

W oddali, w zupełnej ciemności, pomiędzy drzewami słychać było jedynie cichy szelest suchych liści, sprawiający wrażenie, jakby ktoś po nich biegł.

Mężczyźni po chwili byli już na wysokości Brunona. Zatrzymali się na

moment, spoglądając w jego kierunku. Wiedział, że w tych ciemnościach na pewno nie widzą jego twarzy, niestety on też nie był w stanie dokładniej im się przyjrzeć.

– Mówiłem ci, gamoni, że czeka na nas w innym miejscu – powiedział jeden z nich, ale nie zagrał tego zbyt autentycznie, co Bruno od razu wyczuł.

– Chodź, znajdziemy go na skwerze – dodał drugi.

Odwrócili się i zaczęli schodzić pośpiesznie ze wzgórza. Bruno odczekał chwilę do momentu, aż zniknęli za drzewami w ciemnej alejce, po czym upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wstał z ławki. Skręcił chodnikiem w prawo i wspiął się schodami w przeciwnym kierunku. Będąc już na szczycie, zauważył wjeżdżającą windę. Przez jej oszklone ściany widział osoby ubrane w czarne skórzane kurtki. Drzwi się otworzyły i wyszli z niej trzej mężczyźni. Spojrzeli na niego, po czym zaczęli iść dość szybko w jego kierunku. Bruno stanął w miejscu. Natychmiast ocenił sytuację i zdał sobie sprawę, że w razie ataku, ratuje go jedynie ucieczka. Przygotował się na najgorsze. Jednak po chwili, przechodząc bardzo blisko, minęli go i poszli dalej, by zniknąć za niewielkim pagórkiem. A więc winda działała – pomyślał. Nie zamierzał jednak z niej skorzystać.

Minął metalowy krzyż i nadkładając ponad kilometr, doszedł do ulicy Świętojańskiej. Tam, na wysokości niewielkiego skwerku wszedł jeszcze na kilka minut w bramę, chcąc zgubić ewentualny ogon. Chwilę później, idąc Nabrzeżem Prezydenta, minął Hotel Marriott, skąd udał się do stojącego w głębi parkingu pojazdu.

W czasie powrotu analizował to, co przekazała mu Reni. Żał mu było tej dziewczyny, widział, że jest z tym problemem zupełnie sama, ale teraz nie mógł jej pomóc. Miał tylko nadzieję, że jest teraz w jakimś ciepłym, bezpiecznym miejscu. Wspomniała, że za parę dni ma zamiar wyjechać; gdyby chociaż wiedział gdzie. Niestety nie zdążył jej dopytać. Czy oprócz tego, co usłyszał, dziewczyna wie coś jeszcze? Wyraźnie chciała mu coś

przekazać, zanim uciekła.

Ci dwaj w alejce najwyraźniej kogoś szukali, a jeśli szukali jej... Lawina myśli przetaczała się przez głowę Brunona. Dla kogo ta mała, drobna osóbką stanowi zagrożenie? – pomyślał, wysiadając z auta przy budynku swojego biura.

Na piętrze, w oknach należących do firmy, świeciło się jasne światło. Przypomniał sobie, że pani Kasia poinformowała go, że będzie dziś w biurze do późnych godzin. Domyślał się, że zapewne, podobnie jak on, nie miała czasu zjeść kolacji. Poszedł więc do najbliższej restauracji, gdzie kupił na wynos dwie porcje pysznego steku z ongleta w pieczonych ziemniaczkach z jalapeño i sałatką.

Po chwili wszedł na piętro i otworzył drzwi do biura. Jasne światło rzucało blask na dywan, na którym leżała sterta porzucanych, kolorowych pudełek.

Zamknął za sobą drzwi i w chwili, gdy kładł na krześle gustownie zapakowane jedzenie, usłyszał cienki, wydany jakby pod wpływem wysiłku jęk. Wszedł do drugiego pomieszczenia.

Po prawej stronie, obok biurka, stała na krześle pani Kasia. Jej buty leżały na podłodze a ona, wspinając się bosą na palcach, próbowała umieścić ozdobę na czubku choinki. W czasie, gdy Bruno podchodził, aby jej w tym pomóc, dziewczyna jakby resztkami sił wspięła się jeszcze wyżej, w wyniku czego jej krótka spódniczka zrobiła się jeszcze krótsza. Wysilek jednak się opłacił i ozdoba znalazła się na swoim miejscu.

– Dobry wieczór, pani Kasiu – powiedział do wyraźnie zaskoczonej dziewczyny, która obciągnąwszy pośpiesznie spódniczkę w dół, zeskoczyła z krzesła.

– Przepraszam pana – odpowiedziała lekko zmieszana i nakładając zgrabny bucik na wysokiej szpilce, dodała: – Zaskoczył mnie pan, a to miała być niespodzianka. Myślałam, że będzie pan dopiero jutro. Od kilku już lat w połowie grudnia ubieram choinkę w tym biurze.

Bruno spojrzął na ponad dwumetrowe, gęste drzewko. Wisały na nim duże, szklane, grafitowe bombki, w których odbijały się migoczące delikatnie ciemnoniebieskie drobne światełka. Gdzieniedzie, pomiędzy gałęziami, zawieszane były piernikowe ludziki, a w całym pomieszczeniu unosił się przyjemny korzenny zapach.

– Wygląda naprawdę wspaniale. Dziękuję, pani Kasiu. Na pewno bardzo się pani napracowała, ale efekt jest wręcz zjawiskowy.

Kasia uśmiechnęła się skromnie. Wiedział, że pierniki piekła własnoręcznie. Przypadkiem zauważył, jak kilka dni temu przeglądała w komputerze przepis na to ciasto.

– Strasznie zgłodniałem. A pani? – zapytał, wskazując dłonią na sąsiednie pomieszczenie.

Buzię Kasi rozjaśnił promienny uśmiech. Bruno zgasił światło i raz jeszcze spojrzął na drzewko. To miłe, że ktoś pamiętał o tym nieodłącznym symbolu świąt. Wprowadził on do tych pomieszczeń bardzo ciepły nastrój, którego podobnie jak on, Kasia też pewnie potrzebowała.

Podeszli do foteli przy małym kawowym stoliku. Rozwiązał kolorowe kokardy i otworzył termiczne pudełka z jedzeniem. Całe pomieszczenie wypełnił zapach pieczonych ziemniaczków. Następnie przelał colę do dwóch wysokich szklanek do piwa, po czym zasiedli wspólnie do posiłku.

Jedząc, obserwował dyskretnie Kasię. Najwyraźniej potrawa przypadła jej do gustu, bo już po chwili przekonał się, jak wiele w tak krótkim czasie może się zmieścić do tak małego brzuszka.

– Było naprawdę pyszne. Bardzo dziękuję – powiedziała, wycierając dłonie w papierową chustkę. – Niestety muszę już pana pożegnać. Za kilka minut odjeżdża mój ostatni autobus – dodała, spoglądając na zegarek wiszący nad biurkiem.

– Z przyjemnością odwiozę panią do domu. Jest już dość późno, dlatego będę nalegał.

– Jest pan bardzo miły. Dziękuję – powiedziała, przesuwając zmysłowo

palec po ustach, w kąciku których znajdowała się kropla napoju.

Kwadrans później byli już w aucie. Jak się okazało, Kasia mieszkała całkiem niedaleko, w oddalonej o zaledwie sześć kilometrów spokojnej dzielnicy Gdańska – Wrzeszcz Dolny.

W czasie przejazdu patrzył, jak światła ulicznych lamp przesuwały się po jej długich, zgrabnych nogach, co w połączeniu z inteligencją, którą niewątpliwie posiadała, jeszcze bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że marnuje ona swoje życie, spędzając całe dnie w biurze. Jednak pomimo tego, jak dobrze jej życzył, nie miał wcale zamiaru namawiać jej do odejścia.

Zatrzymali się w okolicach zajezdni autobusowej, przy ogrodzonym osiedlu złożonym z kilku niewysokich apartamentowców z białej cegły.

– Tutaj mieszkam – powiedziała Kasia, wskazując dłonią na narożne mieszkanie na parterze, z niewielkim trawiastym ogródkiem. Całość przysłaniała górka porośnięta młodymi iglakami i wysoką ozdobną trawą. – Może wejdzie pan na kawę?

– Bardzo chętnie, pani Kasiu, niestety dochodzi już północ i naprawdę nie chciałbym sprawiać kłopotu.

– A tak, rzeczywiście, zapomniałam. Sama muszę jutro bardzo wczesnie wstać.

– Ja również, ale przy następnej okazji bardzo chętnie napiję się kawy w pani miłym towarzystwie – odparł.

Dziewczyna uśmiechnęła się, ale w jednej sekundzie jej buzia nagle posmutniała.

– Panie Bruno? – powiedziała lekko stłumionym głosem, spoglądając na niego. – Chciałam zapytać o to już wczoraj, ale nie było sposobności. Czy zaginięcie pana Tomasza ma związek z ostatnią sprawą, którą prowadził? Czy chodzi o tę modelkę, panią Laurę Long?

Bruno odwrócił głowę w jej kierunku. Zastanawiał się przez chwilę, czy to konieczne, by angażować w sprawę tak młodą dziewczynę. W jej głosie

wyczuł jednak wyraźny niepokój, a wiedząc, że jest to bystra i spostrzegawcza osoba, nie miał zamiaru jej okłamywać.

– Przypuszczam, że tak. W każdym razie wszystko na to wskazuje.

– Nie jestem na bieżąco, ponieważ z powodu grypy na dziewięć dni przed zaginięciem pana Tomasza nie byłam obecna w biurze. Dlatego nie wiem, jakie poczynił kroki w śledztwie. Kilka dni temu poprosił mnie o sprawdzenie jednej rzeczy. Zauważyłam, że bardzo mu na tym zależało.

Bruno ściszył radio.

– Ustaliłam pewne miejsce. Dzwoniła z niego jakaś dziewczyna, znajoma Laury, na chwilę przed tym, zanim ta prawdopodobnie wyjechała, a mówiąc precyzyjniej, uciekła z miasta.

– To interesujące – powiedział, odwracając się twarzą w jej kierunku i opierając łokieć lewej ręki na kierownicy. – W czasie pani nieobecności Tomasz odwiedził klub nocny, gdzie spotkał się z dziewczyną imieniem Reni – dodał, chcąc się zrewanżować i widząc malującą się na twarzy Kasi ciekawość.

– A więc to ona do mnie dzwoniła.

– Tak. Niestety nie zdążyłem dowiedzieć się od niej wszystkiego i na razie czekam na ponowny kontakt z jej strony. A co pani ma?

Kasia sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej mały kieszonkowy notes. Otworzyła go, po czym wyrwała z niego kartkę i podała ją Brunonowi.

– Laura miała koleżankę. To ona po jej śmierci zadzwoniła do naszego biura, prosząc o kontakt, a kilka godzin później, w kolejnej rozmowie telefonicznej z panem Tomaszem przekazała mu informację, po której wszczął on śledztwo. Kiedy dziewczyna ostatni raz rozmawiała z szefem, poprosiła, aby do niej podjechał. Powiedziała, że jest w Trójmieście, niedaleko morza, i że jeszcze przez kilka godzin będzie przebywać w okolicach mostu u pani Kai. Tu połączenie zostało przerwane. Być może rozładowała się jej bateria w telefonie. Tomasz, analizując przez dłuższy czas nagranie, spostrzegł, że w tle wyraźnie słyszalne były przyjazdy

i odjazdy pociągów. Na podstawie tego ustaliłam dokładnie, o które miejsce chodziło. To niewielka stacja kolejowa Gdynia Redłowo z mostem, przez który przebiega ulica Stryjska.

– A więc mamy coś nowego i z pewnością należy to sprawdzić. Dzięki – powiedział i zauważył, że Kasi najwyraźniej spodobało się, że ktoś docenił jej starania. Na pewno nie było to łatwe zadanie i z pewnością wytypowanie właściwego miejsca wymagało sporo cierpliwości i czasu. Niestety wiedział też, że z dnia na dzień mają go coraz mniej.

– To ja dziękuję za podwiezienie, panie Bruno. I za pyszną kolację.

– Życzę dobrej nocy – pożegnał ją, podając jasny płaszcz znajdujący się na tylnym siedzeniu samochodu.

Bruno wziął do ręki wyrwaną z notesu kartkę, wpisał dane do nawigacji i ruszył w kierunku ustalonego przez Kasię miejsca. Była już późna pora i niestety nie liczył na zbyt wiele. Czuł jednak, że jeśli tego nie sprawdzi, sumienie nie pozwoli mu spokojnie zasnąć.

Po trzydziestu minutach zaparkował pojazd przy moście w pobliżu dworca Gdynia Redłowo. Przez jakiś czas obserwował z góry przyległy do niego teren, a następnie znajdującymi się w pobliżu schodami zszedł na słabo oświetlony peron. Na długim chodniku, pośrodku którego znajdowały się dwa budynki połączone ze sobą wiatą, nie zauważył nikogo. Dopiero gdy wzdłuż torowiska podszedł nieco bliżej, spostrzegł, że pomiędzy budynkami, na ławce, w pozycji embrionalnej leży jakiś mężczyzna. Ubrany był w bardzo grubą filcową kurtkę z zarzuconym na głowę kapturem. W okolicach szyi widocznych było kilka wystających kołnierzyków, co pozwalało przypuszczać, że miał na sobie wiele warstw ubrań. Obok niego leżała przewrócona butelka, której zawartość wylała się na peron. Z powodu barwy płynu skojarzyła się ona Brunonowi z „zieloną wróżką” – napojem poetów i malarzy, który na skutek dużej zawartości tujonu, wywoływał u nich halucynacje i wyzwalał moce twórcze. Obejść się bez niej nie mogli podobno Hemingway i Picasso, a Toulouse-Lautrec nie

rozstawał się z nią nawet podczas wojaży pomiędzy paryskimi domami publicznymi, dla kamuflażu wlewając ją do laski, którą się podpierał. Z całym jednak szacunkiem, ten człowiek nie wyglądał mu na artystę, a jeśli już, to w bardzo poważnym kryzysie twórczym. Noce robiły się coraz chłodniejsze i z pewnością dla tego bezdomnego mężczyzny nadchodziły trudne miesiące.

Rozejrzał się wokół.

Przypomnił sobie, że dziewczyna wspomniała w rozmowie o tym, że była tu w towarzystwie pani Kai. Zauważył, że w jednym z budynków znajdujących się na peronie, przez szczelinę pomiędzy ciężkimi, metalowymi płytami, którymi osłonięte były okna, przebijało jasne światło.

Mieścił się tam niewielki kiosk z prasą i słodyczami. Na ścianie pokrytej graffiti z logo miejscowego klubu piłkarskiego przyklejona była tabliczka informująca o godzinach jego otwarcia: 7.00-15.00.

A więc dziewczyna nie mogła dzwonić wieczorem z jego wnętrza, co raczej wyklucza, że pani Kaja mogłaby być sprzedawczynią.

W pobliżu stacji, w promieniu ponad stu metrów, nie znajdowało się nic szczególnego oprócz kilku drobnych pagórków i rozrzuconych kawałków betonowych płyt. Za nimi rosły wysokie zarośla, w których znikwały biegnące nad ziemią rury, a równoległe do torów ciągnęła się dwupasmowa droga.

Dochodziła pierwsza w nocy.

Przejeżdżający pociąg obudził śpiącego na ławce człowieka, który wstał i wyraźnie niezadowolony, mamrocząc coś pod nosem, odszedł w kierunku mostu. Po kilkunastu sekundach przeszedł pod nim i zaszył się w gęstych krzakach.

Bruno rozglądał się jeszcze przez chwilę, ale nie zauważył tu nic, co mogłoby go naprowadzić na jakiś trop. Zawiedziony skierował się powoli w stronę schodów. Wrócił do swojego samochodu i ruszył w kierunku Gdańska.

Po przejechaniu kilkuset metrów zjechał nagle na pobocze i zatrzymał pojazd. Jedna rzecz wyraźnie nie dawała mu spokoju. Te rury – pomyślał – i ten bezdomny człowiek idący w stronę zarośli. Dzisiaj w nocy temperatura miała spaść poniżej zera. Z pewnością musiał mieć tam jakieś lepsze schronienie od tego na dworcowej ławce. Bruno zawrócił. Już na miejscu, wysiadając z auta, zabrał z bagażnika zgrzewkę piwa, którą dostał w prezencie od klienta.

Kilka minut później był już w pobliżu krzewów, w których zniknął spotkany na peronie mężczyzna. Dochodziło tu niewielkie światło z pobliskich ulicznych latarni, ale było na tyle mocne, że z łatwością zauważył wydeptaną pomiędzy zaroślami ścieżkę.

Szedł jej śladem w kierunku, z którego dobiegał gruby, ochrypy głos.

Po przejściu około trzydziestu metrów minął leżący na ziemi stary nadpalony materac. W jego pobliżu znajdowało się kilka prowizorycznych siedzisk ułożonych z cegieł, wokół których porzrucane były puste butelki z mnóstwem najrozmaitszych śmieci.

Na moment przystanął.

Słyszany wcześniej głos był teraz znacznie wyraźniejszy i dobiegał do jego uszu z charakterystycznym odgłosem echa, jak gdyby mówiąca osoba znajdowała się wewnątrz głębokiej studni.

Bruno rozejrzał się wokół siebie, lecz nikogo nie zauważył. Po przejściu kilku kroków w stronę źródła dźwięku zorientował się, że dobiega on z miejsca, w którym rury grzewcze zakręcają i biegnąc dalej pionowo w dół, znikają w ziemi. Zbliżył się do nich. Pomiędzy nimi a krawędzią okrągłego betonowego otworu znajdował się luz pozwalający dorosłemu człowiekowi na przeciągnięcie się. Na dole zauważył fragment jakiegoś pomieszczenia, które było oświetlone słabym płomieniem z gasnącego już powoli znicza.

– Przepraszam – powiedział głośno Bruno, pochylając się nad dziurą w ziemi i próbując przekrzyczeć rozpoczynającego dopiero monolog mężczyznę.

– A weź spierdalaj! Nie ma już miejsca! – odezwał się męski głos.

– Nie zrozumieliśmy się, szukam kogoś.

Przez chwilę nastała cisza, po której usłyszał, jak ktoś z mozołem idzie w jego kierunku, rzucając po drodze wulgaryzmami. Kilka sekund później spojrzała na niego ciemna, porośnięta gęstą brodą twarz. Ta sama, którą chwilę temu spotkał na peronie dworca. Bruno uniósł zgrzewkę piwa do góry, by była ona widoczna przez otwór z dołu.

– Chciałem pogadać – powiedział.

Mężczyzna spojrzał lekceważąco na prezent.

– Nie obrażaj mnie i poszukaj sobie lepiej kolegów gdzie indziej. Ja, kurwa, byle czego nie piję, ale ostatecznie możesz to wrzucić, będzie na śniadanie – dodał, po czym nie czekając, odwrócił się i odchodząc, zniknął mu z oczu.

– Chodzi mi o panią Kaję.

Głośne szuranie butów nagle ucichło i po chwili z głębi ciemnego już otworu usłyszał szept:

– No musiał mnie widzieć.

Po upływie kilku sekund z dołu wyłoniła się kobieca dłoń.

– Możesz mi pomóc?

Bruno wciągnął kobietę na górę i usiedli razem na odwróconych skrzynkach po jakimś alkoholu.

– Czego chcesz? – zapytała oschle.

Miała bardzo młode oczy, które zupełnie nie pasowały do zniszczonej, pokrytej rzędem zmarszczek twarzy. Przyjrzał się jej przez moment. Oprócz kilku zasinionych przebarwień znajdujących się w okolicach prawego policzka, zauważył także jakieś nieciekawie wyglądające uczulenie na czole, które z pewnością wymagało leczenia.

Bruno spostrzegł, jak kobieta, trzęsąc się z zimna, spogląda niecierpliwie w miejsce, z którego przed chwilą wyszła. Zdał sobie sprawę,

że rozmowa może się zakończyć w każdym momencie, dlatego nie tracąc czasu, zaczęła:

– Szukam pewnej dziewczyny. Zadzwoiła do mnie z tego miejsca, ale przerwało nam połączenie. Chcę jej pomóc.

– Nie jesteś przypadkiem jej ojcem?! – zapytała podejrzliwie, robiąc groźną minę i patrząc Brunonowi prosto w oczy.

– Nie. Dobrym znajomym – odpowiedział spokojnie.

– To dobrze. Bo jej ojciec to kawał skurwiela. To przez niego uciekła z domu. Stała zmarznięta na peronie i widziałam, jak bardzo się bała, że ją znajdzie – powiedziała i zaczęła kasłać, po czym głośno splunęła w stronę leżącego obok materaca. – Wzięłam ją na parę godzin do siebie. – Skinęła głową, wskazując na otwór w ziemi, z którego wydobywała się teraz ledwo zauważalna para. – Trochę się tam zagrzała. Chciała gdzieś wyjechać i przeczekać. Pomyślałam o Olsztynie. Urodziłam się niedaleko tego miasta i dobrze je znam, ale ona nawet nie chciała o nim słyszeć. Wołała trochę dalej na południe. – Kobieta nagle zamilkła. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby odpłynęła myślami gdzie indziej. Następnie, znacznie już ciszej, prawie szepcząc, kontynuowała: – Poza tym wspomniała o pewnym zdarzeniu, sprzed prawie czterech lat, kiedy to zabili tam bardzo młodą dziewczynę. Jak już ją znaleźli, rodzina nie mogła jej rozpoznać. Na pewno pan słyszał. To prawda! Wiem, co mówię! Musiał pan słyszeć! – powiedziała znacznie głośniej, ściskając mocno jego dłoń i spoglądając na niego z przerażeniem. – To była głośna sprawa. Jak pan myśli? Czy ich złapano? – powiedziała z nadzieją. – Matka tej biedaczki wylądowała chyba w psychiatryku – dodała i w świetle księżyca zauważył jej szczerze współczującą twarz. – To są straszni ludzie! – powiedziała, rozglądając się wokół siebie z niepokojem, jak gdyby to zdarzenie miało miejsce przed momentem.

Przez chwilę zapanowała cisza, którą kobieta przerwała chrząknięciem, spoglądając wymownie na piwo:

– Masz zamiar taszczyć to z powrotem?

– Przepraszam – odpowiedział Bruno, po czym otworzył szybko puszkę i widząc, jak kobieta skupia na niej cały swój wzrok, wyciągnął rękę w jej kierunku.

– Proszę.

Podciągnęła rękaw długiego wełnianego swetra i trzęsącą się mocno dłonią chwyciła za puszkę, po czym szybko opróżniła połowę jej zawartości.

– Ja, wiesz... – Spojrzała na Brunona. – Już dość spory kawałek życia jestem związana z koleją. To będzie kilka lat – powiedziała, ciężko wzdychając. – Znam wszystkie miejsca i nie zginę, a ona, była taka młoda i delikatna. Wiedziałam, jak to jest, kiedy nie można wrócić do domu, i szkoda mi się jej zrobiło, więc sprzedałam jej miejscówkę. Sama siedziałam tam przez kilkanaście pierwszych miesięcy. – Twarz kobiety nagle posmutniała. – Jest bezpieczna i przytulna. Lepsza od tej nory i towarzystwo ciekawsze – dodała, spoglądając z lekkim obrzydzeniem w dziurę, z której teraz można było wyczuć ciepło z charakterystycznym słodkawym zapachem wilgoci.

– Gdzie to jest? – zapytał i widząc, jak kobieta wyrzuca za siebie pustą puszkę, szybko podał jej kolejną.

– Tego samego wieczoru, po dwudziestej pierwszej, wsadziłam ją do pociągu. W samą porę, bo ta świnka zaczynała się już do niej dobierać – powiedziała z lekkim przygnębieniem, jak gdyby straciła zaufanie do kogoś, na kim bardzo jej zależało, i patrząc w ziemię pomiędzy stopami, dodała: – Niewierna gnida.

Bruno wywnioskował, że z pewnością chodzi o mężczyznę, z którym miał już wątpliwą przyjemność zamienić dwa słowa.

– Całkiem ciekawa przejażdżka – kontynuowała kobieta. – Jedenaście godzin, trzy przesiadki i już mogła zameldować się na miejscu. To znaczy w Łodzi. Dokładnie to Łódź Karolew, taki budynek przy torach – uściśliła,

machając ręką na wprost przed siebie. Zaraz... Jaki tam był numer... Chyba dwadzieścia... Albo nie, trzydzieści trzy. Na pierwszym piętrze mieszkali tam dawniej kolejarze i nawet została po nich spora część mebli. Gdyby nie lokator z dołu, mój dobry znajomy, już dawno by to wszystko wynieśli. Miała się tam na mnie powołać – powiedziała z zauważalną dumą. – Pewnie by się pan od niej dowiedział, gdzie to jest, gdyby prawie nie rozładowała baterii w komórce, rozmawiając wcześniej ze swoją koleżanką. Jej zdążyła powiedzieć, gdzie jedzie.

– Pamięta pani imię tej dziewczyny?

– Niestety nie. Trochę ją za to zbeształam, bo to miejsce znam tylko ja i nie chcę, żeby mi się tam zjechało towarzystwo z całej Polski, ale jak pan już tam będzie, to niech pan ją ode mnie pozdrowi. – Spojrzała na niego lekko szklącymi się oczami. Bruno zauważył, że w trakcie krótkiego czasu, w jakim się widzieli, najwyraźniej ją polubiła.

– Jasne. Nie zapomnę – powiedział, wciskając kobiecie do ręki pięćdziesięciozłotowy banknot. Chwyliła go końcówkami palców odsłaniając, opleciony wokół nadgarstka, zaśniedziały już mocno, srebrny łańcuszek. Wisiała na nim, połówka serca z wygrawerowaną literą „S”. Chwyliła banknot pośpiesznie, zacisnęła pięść i schowała, naciągając na niego gruby rękaw swetra, jak gdyby obawiała się, że ktoś go jej zabierze. Miała bardzo smukłą dłoń i niezdarnie pomalowane paznokcie. Pomimo to ujął go fakt, że nawet w tak skrajnych warunkach, w jakich przyszło jej żyć, starała się wyglądać dla kogoś atrakcyjnie. Wstając, uśmiechnęła się tylko i zeszła do dołu.

Tej nocy Bruno już nie wrócił do biura. Wcześniej, gdy wychodził z niego z Kasią, zabrał plan zleceń na następny dzień.

A więc koleżanka Laury wie na tyle dużo, że musiała ratować się ucieczką. Skłamała, mówiąc, że chodziło o jej ojca. Czy skorzystała z pomocy Kai i ukryła się w Łodzi, czy też w daleko posuniętej ostrożności, przewidując, że tak jak on, mogą tu za nią trafić, zmyliła w ten sposób trop?

Kim jest dziewczyna, do której zadzwoniła? – rozmyślał, podjeżdżając pod garaż swojego świeżo wyremontowanego mieszkania.

Zanim wszedł do środka, wyjął z grafitowej skrzynki, znajdującej się przy drzwiach, zaklejoną kopertę z napisanym na niej imieniem „GREGORY”. Otworzył ją. Wewnątrz znajdowały się dwa zdjęcia i informacja na temat pewnej osoby, którą zamierzał wkrótce odwiedzić.

Będąc już w mieszkaniu, włączył całe oświetlenie i przez chwilę napawał się wspaniałym klimatem, jaki wraz z pomocą architekta udało mu się stworzyć.

Przypomniawszy sobie o swojej perełce, jaką zostawił pod przykryciem w garażu. Miał do niego bezpośrednie wejście z holu, więc już po chwili stał przy dość mocno zakurzonej i przybrudzonej farbą, plandecie. Ściągnął ją ostrożnie, starając się, aby nic nie wpadło do środka i w końcu jego oczom ukazał się ciemnogrnatowy samochód AC Shelby Cobra. Model, który przez lata wygrywał we wszelkiego rodzaju rajdach i wyścigach. Miał urzekający kształt karoserii, a błysk chromowanych elementów i gustownie wykończone skórzane fotele z grubymi przeszyciami wręcz zapraszały do tego, by w nich zasiąść i wyjechać na drogę. Dużo można mówić o tym pojeździe – pomyślał – że pije wiadrami paliwo, że straszy dzieci. Ale to niewiele zmieniało, bo w oczach Brunona, podobnie jak w oczach tysięcy miłośników tego samochodu, to prawdziwa legenda. Granatowy lakier błyszczał w świetle mocnych garażowych reflektorów. Czy mogło być coś bardziej zjawiskowego?

Kładąc się do łóżka, na blacie znajdującego się obok stolika, położył kartkę z zapisaną przez Kasię informacją:

„Pan Darek – powrót z Kalu. Godzina 12.00”. Z dopiskiem: „RATUJ PAN CZŁOWIEKA!”.

DZIEŃ SZÓSTY

(ŚRODA)

Gregory ziewnął, odkładając na bok grubą, papierową teczkę. Zawierała materiały dotyczące działalności podejrzanych agencji, które na terenie całego kraju zajmowały się werbowaniem do pracy młodych dziewczyn w charakterze modelek.

Przeciągnął się mocno na krześle i sięgając po chłodną już kawę, spojrzał na wiszący nad drzwiami okrągły, przypominający dworcowy, duży zegar. Wskazywał godzinę szóstą rano, lecz faktycznie była dopiero piąta. Chociaż zmiana czasu na zimowy miała miejsce już kilka tygodni temu, pamiętał dobrze, że to on przestawiał wskazówki w zeszłym roku, więc w obecnym było to zadanie Wilusia i nie miał zamiaru go w tym wyręczać.

Nagle ciszę przerwał głośny dźwięk telefonu. Gregory, który na odgłos sygnału przypominającego alarm przeciwpożarowy lekko podskoczył, sięgnął po słuchawkę.

– Jestem – powiedział niskim znudzonym głosem, widząc na wyświetlaczu numer dyżurnego komisariatu.

– Słuchaj – powiedział szybko ktoś zdecydowanie żwawszy od niego. – Pomyślałem, że cię to zainteresuje. Przed chwilą dzwonił do nas pewien wędkarz. Wypływając pół godziny temu na jezioro Jasień, przy brzegu zahaczył łódką o dach znajdującego się pod wodą samochodu. Tablice są zdjęte, a przednia szyba pokryta mułem, ale w świetle latarki rozpoznał markę auta. To Mercedes klasy G, koloru niebieskiego.

– Kurwa! Tego się niestety obawiałem – powiedział Gregory, którego zgięta do tej pory sylwetka nagle się wyprostowała. – Poproś policjantów z Oddziału Prewencji, potrzebujemy więcej ludzi. Ściągnij przynajmniej jeden wózek z miasta i wyślij ich w to miejsce. Musimy przeszukać dokładnie teren przyległy do jeziora. Ja już tam jadę.

Po godzinie zaparkował w niewielkiej odległości od dwóch radiowozów, stojących w pobliżu zbiornika. Było jeszcze ciemno i w promieniu kilkuset metrów widział jedynie światła latarek policjantów przeczesujących pobliskie zarośla.

Na miejscu podszedł do niego wysoki, łysy mężczyzna. Był to jego dobry znajomy – Siwy. Poznali się już ponad dwadzieścia lat temu, gdy wspólnie rozpoczynali pracę w służbach mundurowych. Przeszli razem kilkadziesiąt metrów i zatrzymali się przy wyciągniętej z wody niewielkiej wiosłowej łódce. Następnie policjant, unosząc głowę, wskazał mu położenie zatopionego pojazdu. Gregory zbliżył się do linii brzegowej i oświetlił powierzchnię wody. W odległości pięciu metrów, na głębokości kilkunastu centymetrów pod powierzchnią, zauważył pokryty brązowo-czarnym osadem, dach dużej terenówki. Drzwi od strony kierowcy były otwarte i miały opuszczoną szybę. W środku nie zauważył nikogo.

Będzie potrzebna grupa nurków – pomyślał. Zdawał sobie sprawę z tego, że głębokość jeziora sięga tu miejscami ponad trzydziestu metrów i że nie będzie to łatwe zadanie.

Powoli zaczynało się rozwidniać. Usiadł w samochodzie i wpatrując się w dwie małe, trawiaste wysepki, znajdujące się kilkanaście metrów od brzegu, starał się sobie przypomnieć wszystkie przekazane mu przez panią Olę i Brunona szczegóły opisujące zaginionego Tomka. Zwłaszcza to, co miał na sobie w chwili, kiedy po raz ostatni wychodził z domu. Niestety zatopiony pojazd bez wątplenia należał do niego. Oprócz marki, która nie zaliczała się do często spotykanych, potwierdziła to znajdująca się na tylnej szybie naklejka reklamowa przedstawiająca logo firmy, której był

współwłaścicielem.

Pogłośnił radiostację nasobną w momencie, gdy usłyszał w niej głos policjanta wywołującego dowódcę grupy.

– Jedenastka dla dwadzieścia jeden. – Głośnik motoroli zatrzeszczał.

– Zgłaszam się.

– Mamy coś. Otwarta walizka i porozrzucane wokół niej rzeczy. To nie wszystko, wezwij prokuratora. Jest ciało. Dorosły mężczyzna, leży twarzą do ziemi. Dobrze ubrany.

– Okej. Zadzwoń do mnie na komórkę i podaj namiary.

Gregory wysiadł z auta i pośpiesznie zbliżył się do Siwego, który wyskoczył z pojazdu z telefonem przy uchu.

– Dobra. Czekajcie tam na nas – powiedział do aparatu. – To niecałe ćwierć kilometra stąd! – krzyknął do Gregory’ego, gdy ten był jeszcze kilkadziesiąt metrów od niego, wskazując w tym czasie dłonią na porośnięte krzewami niewielkie wzgórze. Udali się pieszo w tym kierunku. Na miejsce prowadziła kręta, obrośnięta z obu stron suchą trawą, wąska ścieżka. Minęli ją i przechodząc pomiędzy gęstymi zaroślami, dotarli na niewielką polanę otoczoną wysokimi krzakami.

Spojrzeli przed siebie. Na przestrzeni kilkunastu metrów widoczne były porozrzucane na trawie ubrania, część z nich wisiała również na gałęziach. Pośrodku, przy dużym pniu ściętego drzewa, leżała otwarta pusta walizka.

Gregory zbliżył się do stojącej kilka metrów dalej grupy czterech młodych policjantów. Panowie dyskutowali głośno, przedstawiając możliwy przebieg zdarzeń, jaki ich zdaniem mógł tu zaistnieć. Przy nich, w wygasłym, otoczonym kamieniami palenisku, zauważył leżącego twarzą do dołu mężczyznę. Nałożył gumowe rękawiczki i pochylił się ostrożnie nad ciałem.

Denat miał na sobie płaszcz od Prady z widocznymi na plecach plamami krwi. Wielkość i kształt dziur w okryciu wierzchnim pozwalały przypuszczać, że powstały one prawdopodobnie na skutek trzech ran

kłutych. Od stóp do wysokości pasa ciało przykryte było suchymi gałęziami, a powyżej, na niewielkiej części pleców i zgiętej w łokciu uniesionej w kierunku głowy ręce, leżała rozłożona gazeta.

Przykucnął i odchylił kawałek mokrego papieru. Pod nim, w zaciśniętej lewej pięści ofiary, znajdowała się wyrwana kępa trawy. Gregory przyjrzał się jej dokładnie i choć w tej sytuacji mogło się to wydać dziwne... odetchnął.

Dłoń miała pięć palców.

A więc ten nieszczęśnik nie był z pewnością poszukiwanym przez niego mężczyzną. W takim razie kim?

Raz jeszcze spojrzął na ciało. Zauważył, że miał on na sobie dość mocno przetarte dresowe spodnie i zniszczone buty z odrywającą się podeszwą. A zatem pozostała część ubrania nie pasowała do drogiego, eleganckiego płaszcza. Prawdopodobnie nie należał on do ofiary.

Po chwili zabezpieczono teren i kiedy do pracy zabrali się technicy, Gregory wrócił do komisariatu.

Przeszukanie jeziora mogło potrwać nawet kilka dni, ale już teraz miał przeczucie, że nie przyniesie ono nic nowego. Był niemal pewny, że osoby, które uprowadziły Tomka, po przeszukaniu jego samochodu i bagażu, pozbyły się jedynie dość charakterystycznego auta.

Kim zatem mogła być ofiara? Nie zgłaszano żadnych zaginięć, a więc mógł to być ktoś bezdomny. Wokół paleniska zauważył wyraźne ślady, po mającej tu wcześniej miejsce libacji alkoholowej. Być może doszło do sprzeczki o podział łupów ze znalezionej walizki albo też, czego nie można było wykluczyć, bezdomny był przypadkowym świadkiem ukrycia dowodów w jeziorze...

O godzinie siódmej Bruno był już po śniadaniu i z zapasem żywności na drogę zasiadł za kierownicą.

Trasa do Kalu liczyła w obie strony, ponad pół tysiąca kilometrów,

a doliczając przynajmniej godzinę, którą z pewnością spędzi na miejscu, szybko obliczył, że całość przejazdu zajmie mu około dziewięciu godzin.

Na ten dzień Kasia nie przyjmowała już żadnych dodatkowych zleceń.

Po drodze zatankował jeszcze paliwo i włożywszy telefon do uchwytu znajdującego się pod przednią szybą, obrał kierunek na Mazury.

Droga nie była męcząca i po paru godzinach zastał na miejscu znajomą już twarz pana doktora, tylko jakby starszą o przynajmniej kilka lat.

– Gdybyś to, człowieku, widział! – krzyknął na widok Brunona, kręcąc przy tym z niedowierzaniem głową. – Gdybyś to widziaaa! – powtórzył, przeciągając chrapliwie jeszcze głóśniej.

Z pewnością nie wyglądał na wypoczętego, za to był w świetnym humorze, bo nie tylko – jak zaznaczył – udało mu się przeżyć ten ekstremalny maraton, ale w dodatku, ku zazdrości kolegów, złowił prawdziwego potwora. Wszystko to oczywiście udokumentował, robiąc zdjęcia telefonem i te właśnie dowody, w większości zrobione z taką precyzją, jak gdyby fotograf siedział na pędzącym jeżu, Bruno miał przyjemność oglądać w czasie powrotu do Gdańska.

Około osiemnastej byli już pod domem.

– Musimy to powtórzyć – powiedział pan doktor, kiwając znacząco głową, gdy wysiadał już z samochodu. – Następnym razem oczywiście zabieram pana ze sobą. Zadzwoń. Potrzebuję jedynie kilku tygodni, żeby się trochę pozbierać. Nie będzie to trudne. Musi pan wiedzieć, że alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w dużych ilościach – dodał.

Bruno słyszał już kiedyś tę złotą myśl, ale dopiero teraz, wypowiedziana z ust lekarza, stała się ona jakby wiarygodniejsza i nabrała bardziej sensownego znaczenia.

Uśmiechnął się i podziękował za zaproszenie, jednak myśli miał zaprzątnięte zupełnie czymś innym. Dzisiaj przypadał dzień urodzin Tomka, a brak jakichkolwiek informacji o nim sprawiał, że Brunona coraz częściej nachodziły złe myśli. Postanowił wypić szklaneczkę za zdrowie przyjaciela

i jego szczęśliwe odnalezienie.

Po odstawieniu auta i przejściu ulicą Długą dotarł do pubu, z którego wnętrza dobiegała spokojna muzyka. Po zamówieniu sobie podwójnego drinka usiadł przy ścianie, na której znajdowała się rycina przedstawiająca ciąg kamieniczek nad Motławą i górującym na tle Długiego Pobrzeża masywnym Żurawiem. Szklanekę przyniosła młoda dziewczyna w czerwonej flanelowej koszuli w kratę. Na widok apetycznie wyglądającego placka po węgiersku, którego miała na tacy, a który zanosła do stolika obok, żołądek Brunona zaczął nieustannie przypominać o tym, że mężczyzna tak naprawdę już od kilku godzin nic nie jadł.

Zastanawiał się, co teraz może się dzieć z Reni. Gdzie się ukrywa. Być może wróciła do swojego mieszkania, o którym wspomniała przy ostatnim spotkaniu. Miał niewiele szczegółów. Mówiła coś o moście i jakimś chłopaku, który przechodził do niej przez rzekę. A więc tak naprawdę nic istotnego.

Przed drugą szklaneczką postanowił jednak zrobić sobie mały podkład w postaci tej smakowitej, zachęcająco pachnącej potrawy. Dwie godziny później i po piątej kolejce, do której doszedł w asyście sympatycznego turysty, jak się później okazało, adwokata z Gliwic, Bruno postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza. Miał zamiar wstać od stolika, gdy do jego uszu dobiegła spokojna melodia i głos Stinga w utworze „Windmills of Your Mind”.

Spojrzał na barmankę, której palce obsługiwały sprzęt audio. Miała bardzo młodą, niewinną buzię. Skąd mogła wiedzieć, jakie mocne wspomnienia piosenka ta wywołuje u Brunona. Głosy wokół jakby ucichły, a on w towarzystwie kolejnej szklaneczki zupełnie odpłynął myślami. Po jakimś czasie wstał i wyszedł z pubu, kierując się w stronę swojego mieszkania.

Wieczór był już znacznie chłodniejszy, a dodatkowo zaczęło jakby mocniej wiać. Walcząc z siłami natury, Bruno starał się jednak, w miarę

możliwości, trzymać pion. Postawił wysoko kołnierzą płaszcza w charakterystyczną kratę, po czym ruszył wolno chodnikiem. Minął kamieniczkę, w której znajdowało się jego biuro, i przeszedł na drugą stronę ulicy. Zmęczenie całym dniem spowodowało, że wyjątkowo mocno poczuł alkohol, który wypił.

Mijając w niewielkiej odległości swojego land rovera, przypomniał sobie, że w środkowej przegródce pomiędzy przednimi fotelami zostawił klucze od loftu. Podchodząc do pojazdu, zauważył trzech młodych mężczyzn. Jeden z nich siedział na masce samochodu i zawiązywał sznurówkę w bucie.

– Nie za wygodnie panu? – zapytał mężczyznę, który widząc, jak otwiera on drzwi, nie ruszył się nawet z miejsca.

– A masz, człowieku, jakiś problem? – odpowiedział tamten, zeskakując na chodnik.

Ostatnią rzeczą, na jaką Bruno miał ochotę, było wdawanie się teraz w dyskusję z młodym człowiekiem, który ewidentnie szukał zaczepki.

– Nie wiem, bo może nie pozwalają ci na to hemoroidy, ale zamiast na moim aucie, posadź cztery litery na ławce obok – powiedział, czym zdecydowanie nie polepszył sytuacji.

Chłopak ewidentnie nie przyjął dobrej rady do serca, bo natychmiast podbiegł do Brunona i po lewym prostym – którym go nie dosięgnął i po którym widać było, że ma on duże problemy z wyczuciem dystansu – tak zwanym „ciosem z remizy” po raz kolejny próbował mu przekazać, że z jakichś przyczyn nie czuje do niego sympatii. Ta kombinacja była dla Brunona czytelna jak wielki napis na billboardzie, który minął kilkadziesiąt metrów wcześniej: „POCZUJ KLIMAT MIASTA NOCĄ”.

Obniżył lekko postawę i nie odrywając lewej nogi od ulicy, prawą cofnął po łuku. Schodząc z linii ciosu, przepuścił uderzenie, a następnie skontrował prawym sierpowym. Poprawka lewym okazała się już zbędna. Najwyraźniej podobnego zdania był też główny zainteresowany, ponieważ

oddalając się w dużym pochyleniu, wylądował w pobliskim ogródku piwnym. Forsując niewielki płótek i przewracając dwa plastikowe krzesła razem ze stolikiem, narobił trochę szkód, ale co gorsza sporego rumoru, zwracając uwagę zajętych do tej pory degustacją piwa towarzyszy.

Z chwilą gdy Bruno próbował spokojnie oddalić się w kierunku swojego miejsca zamieszkania, odstawili oni butelki. Spojrzeli na kolegę i wyraźnie oburzeni hałasem, który zakłócił im bez wątpienia owocną konwersację, ruszyli w jego kierunku.

Ten stopień wtajemniczenia podczas trwających zaledwie dwa lata lekcji boksu był przerabiany jedynie teoretycznie. A sprowadzał się do krótkiej, ale bardzo szczerej rady trenera, by w takiej sytuacji bez zastanowienia czym prędzej „odpalać wrotki”.

Na to jednak nie pozwalało mu zmęczenie spowodowane wizytą w pubie. Po gradzie ciosów upadł na ziemię i gdy posypało się jeszcze kilka kolejnych, do jego uszu dotarł piskliwy krzyk jakiejś kobiety z okna kamienicy:

– Co wam, łobuzy, zrobił ten starszy człowiek?! Zostawcie go!

Kilka sekund później usłyszał dźwięk sygnałów policyjnego radiowozu, co skłoniło mężczyznę do ucieczki w pobliską bramę. Bruno usiadł na krawężniku, opierając się o latarnię uliczną, i widział tylko, jak policyjny pojazd mija go w pogoni za grupką młodych ludzi.

– No to pięknie zakończyłem dzień – powiedział do siebie, dotykając dłonią pękniętej wargi, ale nie ona w tej chwili bolała go najbardziej. – Zaraz... Jaki starszy człowiek?! Kogo ta kobieta miała na myśli? Jedynym usprawiedliwieniem jej rażącej pomyłki – pomyślał, spoglądając na uszkodzone nad nim oświetlenie – był półmrok.

Bruno wstał i otrzepał lekko przybrudzony płaszcz.

– Chyba nie tak wygląda słynna pomorska gościnność, o której zapewniał mnie Tomek – dodał, sprawdzając, czy nie uszkodził przypadkiem zegarka.

– Coś się panu stało? – usłyszał dobiegający zza pleców znajomy głos.

Odwrócił się i zauważył panią Kasię, która prawdopodobnie po wyjściu z biura szła w stronę przystanku autobusowego. Nie wyglądała dość dobrze, a do tego nigdy nie widziała go tak pijanego. Wyprostował sylwetkę, poprawiając włosy i chcąc doprowadzić się trochę do porządku, zaczął upychać do spodni wiszącą z przodu koszulę. Po chwili, widząc jednak nadal wyraźnie zaniepokojoną twarz dziewczyny, uśmiechnął się w jej kierunku.

– Dziękuję, nic mi nie jest – powiedział tak przekonująco, jak tylko potrafił. – Chyba się potknąłem – dodał, wskazując na wystającą płytę chodnikową.

W tej samej chwili minęły ich dwa powracające radiowozy.

– Złapali wszystkich – powiedziała Kasia. – Pomogę panu dojść do domu, wyjątkowo dzisiaj ślisko.

DZIEŃ SIÓDMY

(CZWARTEK)

Bruno otworzył oczy, po czym zmrużył je natychmiast, ponieważ jego głowę przeszył przenikliwy ból. Odczekał moment i z chwilą, gdy ból ustąpił, ponownie podniósł powieki. Na szklanym kawowym stoliku zauważył talerz z kanapkami z cienko pokrojonym łososiem. Obok, oparta o kubek z herbatą, stała mała, jaskrawozielona kartka, na której zapisano wiadomość: „Bardzo panu dziękuję za przenocowanie. Wyszłam do biura o 7.00. Jest pan bardzo zabawny po alkoholu. Kasia”. Na końcu narysowana była buźka z podwójnym uśmiechem w kształcie półksiężyców.

Bruno wstał z sofy. Bardzo zabawny... – pomyślał, spoglądając po sobie z lekkim zdziwieniem połączonym z obawą. Czym tak rozbawił panią Kasię? Niewiele z tej nocy pamiętał, ale dla pewności postanowił nie zaglądać dzisiaj do biura. Chciał wierzyć w to, że jeden dzień powinien wystarczyć, by dziewczyna wymazała z pamięci jego ewentualną wpadkę.

Przeszedł do łazienki i kierując się w stronę kabiny prysznicowej, minął wielkie, ciągnące się od podłogi po sufit, prostokątne lustro bez ramy. Zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się nad tym, kogo przed momentem w nim zobaczył. Po kilku sekundach ciekawość jednak wzięła górę i zrobił krok do tyłu.

– Do jasnej cholery! Co to za gęba?! – krzyknął, widząc poharataną i opuchniętą czerwono-fioletową twarz. – Dzisiaj jestem zupełnie niewyjściowy. Ciekawe, jakich to klientów wystraszę swoją osobą?

Wrócił do stolika, na którym, obok talerza, leżała niewielka kartka z planem przejazdów na dzisiejszy dzień:

„Godzina 10.00 – Pan Kampi Alexander. Adres: Gdynia ul. Klonowa 7 – trasa Gdynia-Chojnice”.

Nie miałem jeszcze przyjemności – pomyślał.

Poniżej zapisana była kolejna informacja:

„Panie Bruno, tę wiadomość otrzymałam SMS-em: «Godzina 19.00 Gdynia-Orłowo zwalony pień przy klifie. Bardzo proszę zabrać ze sobą wszystkie informacje przekazane panu od detektywa. Będę miała ze sobą czek. Reni».

– Nareszcie. A więc ostatniego wieczoru nic się jej na szczęście nie stało – powiedział, spoglądając na zegarek.

Była ósma trzydzieści. Miał zatem dość czasu, by się trochę ogarnąć i doprowadzić do w miarę ludzkiego wyglądu. Nie chciał zrobić złego wrażenia na nowym kliencie.

Pan Aleksander, jak się okazało, był wraz ze swoją małżonką. Bardzo elegancy, dystyngowani ludzie około sześćdziesiątki. Udawali się na pogrzeb. Uroczystość miała się zacząć w niewielkiej kapliczce przy cmentarzu w pobliżu Chojnic. Zmarła najstarsza ciocia pani Kampi, która była, z tego, co udało się Brunonowi usłyszeć w trakcie prowadzonej przez swoich klientów rozmowy, również jedną z najstarszych mieszanek tego miasta. Po uroczystościach i krótkiej stypie miał zabrać ich z powrotem do domu.

W trakcie przejazdu zauważył, jak pani Kampi, zerkając co pewien czas we wsteczne lusterko, próbuje z coraz większym zaciekawieniem, połączonym z niedowierzaniem, dokładniej mu się przyjrzeć. Aby nieco ostudzić jej zapędy, włożył okulary przeciwsłoneczne.

W rozmowie z mężem kobieta usiłowała możliwie najszybciej przedstawić mu wszystkich członków swojej rodziny, którzy mogliby być obecni na miejscu i dość precyzyjnie starała się przekazać, z kim i o czym można porozmawiać, a jakich tematów bezwzględnie nie poruszać.

– A teraz najważniejsze – dodała, dosiadając się bliżej, jakby chciała

w ten sposób podkreślić wagę słów, które za chwile wypowie. – Nigdy, ale to nigdy nie patrz na brzuch wujka Sebastiana.

– Dlaczego? – zapytał znudzony pan Kampi, bez najmniejszych oznak zdziwienia i najwyraźniej przeładowany już ilością bombardujących go od dłuższego czasu informacji.

– Bo on go nie ma – skwitowała krótko pani Kampi, lekko się przy tym uśmiechając. – Poza tym jest bardzo wrażliwy na tym punkcie.

Po godzinie byli na miejscu.

– Jest i wujek Sebastian! – powiedział z nieukrywaną radością pan Kampi, wskazując dłonią pomiędzy zagłówkami na człowieka, idącego zamaszyście środkiem chodnika.

– O co cię prosiłam, Olek?! – powiedziała już bardziej oschle jego żona.

Bruno zatrzymał się tuż obok dużego straganu ze zniczami, przy którym, z wieńcami w dłoniach, stała dość spora grupka osób. Państwo Kampi wysiedli z poważnymi już minami.

Siedząc w aucie, Bruno przypomniał sobie moment, w którym kilka minut wcześniej, przy lekko zarośniętym szuwarami stawie, mijał niewielką karczmę o nazwie „Pod Złamanym Pagajem.” Spojrzał na zegarek i przez chwilę zastanawiał się, ile wraz z krótką konsolacją, może upłynąć czasu do powrotu jego klientów. Po tym jak państwo Kampi zniknęli w niewielkiej kapliczce, udał się na posiłek.

Pan Alex wraz z żoną przybyli parę minut wcześniej, niż przewidział. Na szczęście był już na miejscu. Wsiedli do samochodu wyraźnie usztywnieni i bez słowa zajęli miejsca możliwie najdalej od siebie z twarzami wpatrzonymi w boczne okna pojazdu. Powrót dla odmiany odbywał się w zupełnej ciszy. Do czasu, gdy na minutę przed dotarciem na miejsce milczenie przerwała pani Kampi:

– I po jaką cholere, żeś się gapił, człowieku! – krzyknęła, potrząsając przed sobą dłońmi złożonymi niczym w modlitwie. – Teraz o działce nad jeziorkiem możesz już sobie tylko pomarzyć. O-dle-cia-ła! – dodała,

wyraźnie akcentując, po czym wysiadła.

Zbliżała się szesnasta.

Do spotkania z Reni Bruno miał jeszcze trzy godziny. Znajdował się zaledwie kilka kilometrów od Sopotu. Była to dobra okazja do dokończenia rozmowy z osobą, którą miał ostatnio przyjemność spotkać w posiadłości państwa Roleskich.

Kilkanaście minut później zaparkował pojazd przy antracytowym ogrodzeniu otoczonym wysokimi iglakami skutecznie zasłaniającymi teren.

Szeroka alejka, wyłożona chodnikową płytą w kolorze grafitu, połyskiwała w świetle niskich ogrodowych lamp, prowadząc do furtki uzbrojonej w wideodomofon i przemysłową kamerę. Za ogrodzeniem mieściły się cztery trzykondygnacyjne budynki o nowoczesnych kształtach, wewnątrz których znajdowały się luksusowe apartamenty. Od samego początku upodobali je sobie ludzie ze świata show-biznesu i polityki.

Poprzedniego dnia Bruno z ciekawości przejrzał oferty dotyczące sprzedaży mieszkań z tego osiedla. Większość z nich zaczynała się od ceny przekraczającej znacznie jego budżet i oscylowała w kwocie od miliona dolarów wzwyż.

Przez furtkę, jak i do budynku udało mu się dostać, idąc za młodym dostawcą pizzy. Gdy był już na klatce schodowej, przechodząc korytarzem, przypominającym wewnątrz ekskluzywnego hotelu, spoglądał na przesadnie duże cyfry umieszczone na ścianie po lewej stronie od drzwi, odpowiadające numerom poszczególnych lokali.

Adres ustalił mu Gregory. Stefan mieszkał na drugim piętrze w dwupoziomowym apartamencie z metalowymi zewnętrznymi schodami prowadzącymi spiralnie na taras umiejscowiony na dachu budynku.

Już przy pierwszym spotkaniu Bruno z łatwością spostrzegł, że jest to człowiek uzależniony od narkotyków. Oprócz rozszerzonych źrenic, nadpobudliwości i nieustannego pociągania nosem, znalezienie foliowego

woreczka ze „śniegiem” pod land roverem, który najwidoczniej wypadł mu w momencie, gdy zderzyli się ze sobą, jedynie potwierdziło jego wcześniejsze przypuszczenia. Przekazał go Gregory’emu, a ten sprawdził zawartość i zidentyfikował znajdujące się na opakowaniu odciski palców.

Trzy lata temu Stefan był już notowany za posiadanie narkotyków, ale wtedy, dzięki nazwisku, udało mu się wywinąć od odpowiedzialności i mógł nadal prowadzić beztroskie życie na zawiasach.

Znaleziona przez Brunona paczka zawierała kokainę najwyższej jakości. Była sporo warta, a co najważniejsze, w ilości, która stałaby się dla Stefana pewną przepustką do świata o znacznie gorszym standardzie niż ten tutaj.

Bruno stanął przy drzwiach z numerem 9 i nacisnął dwukrotnie na okrągły guzik w kolorze połyskującej miedzi. Rozległ się dźwięk przypominający bicie londyńskiego Big Bena. Zaczekał przez chwilę i powtórzył, przytrzymując guzik nieco dłużej. Cofnął rękę, słysząc głośne szuranie stóp. Skrzydło drzwi otworzyło się do środka i ujrzał plecy odchodzącego od nich mężczyzny w grafitowym szlafroku.

– Wejdz, Daniel. Miałeś być za godzinę. Dopiero wstałem i łeb mi pęka – powiedział zmęczonym głosem Stefan i nie odwróciwszy się, uniósł obie ręce w górę, by ścisnąć nimi głowę. – I co? Kiedy będzie ten „śnieg”? – dodał, zbliżając się do biurka.

– Z tego co wiem, zapowiadali raczej deszcz – odpowiedział Bruno, wchodząc do dużego salonu.

Stefan odskoczył na bok w kierunku łóżka, ale Bruno już stał przy nim, trzymając w dłoni wyciągnięty właśnie spod poduszki pistolet – GLOCK 19. Znał dobrze tę jednostkę. Od lat była ona najpopularniejszą bronią wśród policjantów na całym świecie.

– Coś taki nerwowy, Stefan? – powiedział z udawanym politowaniem do mężczyzny, który zamarł w bezruchu w pochylonej pozycji biegacza.

Następnie wskazał kilkakrotnie bronią na stojący obok niego szeszlong. Steve usiadł na nim, poprawiając szlafrok.

– Broń należy do mojego ojca. To jest jego mieszkanie – wyjaśnił szybko, najwyraźniej nie rozpoznając Brunona i przyjmując, że jest z policji.

Bruno w tym czasie wykonał dwukrotny ruch dłonią, próbując jakby zamieść skrawek atłasowego prześcieradła, i usiadł w tym miejscu.

– Słuchaj, chcę tylko porozmawiać. Interesuje mnie jedna osoba.

– Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałbym z tobą gadać – powiedział tamten oschle, wypuszczając mocno powietrze ustami ułożonymi jakby do gwizdania.

– Zatem postaram się poprawić ci ostrość widzenia i może jednak go dostrzeżesz – powiedział, rzucając w jego kierunku kopertą, która przeleciała kilka metrów nad wełnianym, ręcznie tkanym dywanem, po czym wylądowała na jego kolanach.

Mężczyzna pośpiesznie wyjął znajdującą się w niej zawartość. W środku umieszczone były zdjęcia dowodów rzeczowych, to jest foliowego woreczka z wynikami badań laboratoryjnych, niepozostawiających wątpliwości, że zawierał on kokainę, oraz zdjęcie odcisków palców zabezpieczonych na opakowaniu, w którym znajdował się narkotyk. Poniżej umieszczona była informacja z przeprowadzonej identyfikacji daktyloskopijnej, która potwierdziła, że odciski należały do Steve'a.

Ten westchnął głęboko i opuściwszy ręce, oparł się, odchylając mocno głowę do tyłu. Przez dłuższy czas siedział w bezruchu wpatrzony w sufit.

– Co chcecie wiedzieć? – powiedział w końcu, najwyraźniej pogodziwszy się z sytuacją.

– Interesuje nas Laura.

Mężczyzna usiadł wyprostowany i spojrzał ze zdziwieniem na intruza.

– Przecież ona popełniła samobójstwo.

– Co ty nie powiesz? – Bruno udał zdziwienie. – Kiedy widzieliście się po raz ostatni przed jej śmiercią?

Stefan pokręcił kilkakrotnie głową, nie ukrywając, że nadal nie widzi najmniejszego sensu wracania do tego tematu.

– Na dwa, trzy dni przed...

– Zastanów się dobrze. Nie rozmawiałeś z nią później? – przerwał mu lekko podniesionym głosem Bruno.

– A tak, zaraz... Na kilka godzin przed wyjazdem na ten pokaz. Rzeczywiście zadzwoniła do mnie i powiedziała, żebym do niej przyjechał. – Mężczyzna wyciągnął dłoń i wskazał na paczkę długich, wąskich papierosów z aromatem tytoniu fajkowego, leżących przed nim na niskim, szklanym stoliku.

Bruno skinął głową na znak, że może zapalić.

– I... – dorzucił, chcąc trochę ponaglić ospałego rozmówcę, by ten nie stracił wątku.

Mężczyzna zaciągnął się mocno i wypuścił za siebie chmurę białego, aromatyzowanego dymu.

– Byłem u niej po upływie pół godziny, ale gdybym wiedział, że tak się to skończy, tobym sobie te odwiedziny darował. Zarzuciła mi, że ją zdradzam... Ja! – krzyknął wyraźnie oburzony, robiąc przy tym niewinnie zdziwioną minę. – Nawet nie próbowałem się tłumaczyć, widziałem, że nieźle się nakręciła, więc sobie odpuściłem. Oddała mi parę moich rzeczy, które u niej zostawiłem. Były już spakowane w reklamówki i dodała tylko, że pani Soni, u której wtedy jeszcze pracowała, też ma do przekazania parę przykrych słów.

– Nie wiesz jakich?

– Nawet nie pytałem, myślałem jedynie o tym, żeby ulotnić się stamtąd jak najszybciej.

– Co zrobiłeś później?

– A co miałem, kurwa, robić? Wyszedłem. Tak się spieszyłem, że wyjechałem się jeszcze o jej przygotowaną do wyjazdu walizkę. Otworzyła się i wypadła z niej jakaś książka, z której wystawał bilet na koncert. Miał

odbyć się za dwa tygodnie w Pradze. Mieliśmy tam jechać wspólnie, ale tego dnia kupiła wejściówkę tylko dla siebie. Przed budynkiem zadzwoniłem jeszcze na komórkę do mojego znajomego, Oskara Roleskiego, ale była wyłączona, więc wybrałem jego domowy numer. Umówiliśmy się wcześniej na wieczór, ale SMS-em odwołał nasze spotkanie. Chciałem zapytać, kiedy możemy pogadać. Telefon odebrała jego żona, Sonia. Powiedziała, że mąż wyszedł, mówiąc jedynie, że wróci późno. Wyczuła moje zdenerwowanie i kiedy zapytała, powiedziałem jej, że pokłóciłem się z Laurą i że jej również ma ona coś ważnego do przekazania.

– A potem?

– Dla polepszenia humoru zadzwoniłem do znajomej i uderzyliśmy do knajpki w Gdańsku. Obejrzałem tam mecz i siedziałem z przyjaciółmi do rana.

– Mogą to potwierdzić?

– Jasne – powiedział pewnie, głośno przy tym prychnając. – Rano, koło czwartej, pały... sorki. Rano dostałem mandat, że niby miałem spydera na zakazie. Uwzięli się – dodał, pokazując blankiet mandatu karnego zgnieciony w kulkę o rozmiarach orzecha laskowego.

– Widzę, że szybko się pozbierałeś po stracie dziewczyny.

– Przeżyłem to, kurwa, jak nic innego! – krzyknął z wyraźnym oburzeniem Stefan, rozgniatając niedopałek papierosa na ciemnobrązowej podłodze z egzotycznego drewna. Przez nią znowu zacząłem brać to gówno! – powiedział, unosząc w górę zdjęcie wyjęte z koperty, a przedstawiające woreczek kokainy. Rzucił je przed siebie, a ono, przelatując, wylądowało w pobliżu wyspy kuchennej, której podstawę stanowiło jasno podświetlone, kilkusetlitrowe akwarium z morskimi kolorowymi żyjątkami.

– Czy zauważyłeś coś podejrzanego w jej zachowaniu, co mogło sugerować, że ma jakieś kłopoty?

Stefan siedział ze spuszczoną głową, szczelnie obejmując ją dłońmi.

Miał wyraźne problemy ze skupieniem uwagi.

– Nie wiem. W ostatnich dniach zrobiła się trochę dzika – powiedział, pociągając nosem, po czym nie zmieniając pozycji, dodał: – Zauważyłem, że nagle odeszła jej ochota, by ze mną jeździć w niektóre miejsca.

– W jakie na przykład?

– Szczerze mówiąc, to prawie wszyscy moi znajomi nie za bardzo jej odpowiadali. Szczególnie jednak szukała wymówek, gdy chciałem z nią odwiedzić dom państwa Roleskich. Widziałem, gdy byliśmy tam ostatnio, jak unikała kontaktu wzrokowego z panią Sonią, jakby miała przed nią coś do ukrycia. Nie wiem... Może mi się tylko wydawało – dodał, odpalając kolejnego papierosa.

Bruno wiedział, że niczego więcej już się od niego nie dowie. Gregory sprawdził go wcześniej i rzeczywiście facet miał alibi na noc, w którą zabito Laurę.

– No dobra. To by było tyle – powiedział, wstając z łóżka.

– A co z tą sprawą? – zapytał Stefan, kierując wzrok na przyniesione przez niego zdjęcia. – Czy ojciec się dowie?

– Popraw się, bo mamy cię na oku – powiedział, spoglądając na niego poważnym wzrokiem. – Broń ma wrócić do właściciela, zanim zrobisz sobie krzywdę – dodał, wycierając glocka chustką. – A to możesz wyrzucić. – Wskazał głową na leżącą obok szezlonga pustą kopertę. – Oryginały są u nas.

Stefan kilkakrotnie mocno poklepał się otwartymi dłońmi po policzkach, jakby chciał się rozbudzić. Bruno spojrział na zegarek, upłynęła ponad godzina, odkąd tu wszedł. Tamten spodziewał się gościa, a on miał wyznaczone spotkanie z Reni.

Wyszedł z budynku, zbliżył się do auta i otworzył bagażnik. Upewniwszy się, że ma w nim sprawną latarkę, postanowił zjawić się na umówionym miejscu nieco wcześniej.

Plaża w Gdyni Orłowie już opustoszała, a od morza wiał mocny,

chłodny wiatr. Nie był to wymarzony wieczór na spacer, dlatego Bruno wcale się nie zdziwił, gdy obok białego domku Stefana Żeromskiego, którądy przechodził, minął go w pośpiechu pies z wiszącym przy ziemi językiem i ciągnący za sobą, niczym w zaprzęgu, swojego ledwie nadążającego właściciela.

Było wyjątkowo jasno jak na tę porę dnia.

Po przejściu około dwustu metrów, na wysokości dużego, opuszczonego już kompleksu budynków, który wyglądał na dawny dom wczasowy lub sanatorium, zauważył, biegnące po prawej stronie wąskie, prowizoryczne schody. Miał jeszcze spory zapas czasu, dlatego postanowił sprawdzić, dokąd mogą go zaprowadzić.

Ścieżka wiodła stromo w górę i była otoczona gęsto rosnącymi dużymi drzewami. Po kilkudziesięciu metrach rozgałęziała się. Bruno skręcił w prawo i wspomagając się światłem latarki, szedł równoległe do linii brzegowej wzdłuż górnej krawędzi klifowego urwiska. Podmuchy wiatru nasilały się coraz bardziej, a głośny szum oraz skrzypienie kołyszących się dużych pni uświadomiły mu, że ta wyprawa nie była jednak dobrym pomysłem.

Po chwili, mijając po drodze niezliczoną ilość połamanych przez wiatr gałęzi, doszedł do mniej zalesionej części trasy. Dochodziła ona do krawędzi klifu i przypominała naturalny, niewielki taras widokowy. Znajdował się on dokładnie na szczycie skarpy. Wyłączył latarkę i wsunął ją do kieszeni spodni.

W miejscu, w którym stał, zapanował mrok, ale w dole tego ponad sześćdziesięciometrowego urwiska, z łatwością dostrzegł leżący na piasku wielki powalony pień.

Spojrzał na zegarek. Świecące ramiona wskazówek pokazywały osiemnastą czterdzieści. Muszę już wracać – pomyślał, choć gdyby to było możliwe, chętnie teleportowałby się na dół bez konieczności ponownego pokonywania pogrążonej już w ciemności, ścieżce.

W tym momencie do jego uszu dobiegł głośny skrzek mew. Spojrzał raz jeszcze w kierunku morza. Stado kilkuset ptaków poderwało się na chwilę, by po kilku sekundach ponownie wylądować na piasku.

Nagle, kilkanaście metrów od nich, uwagę Brunona zwrócił jakiś niewielki ruch.

Przyjrzał się uważniej owemu miejscu.

Po prawej stronie, w odległości kilku kroków za osuwiskiem piachu i trzech przewróconych drzew, stały dwie postacie. Obserwowały one plażę i teren wokół powalonego pnia. Jeden z mężczyzn co pewien czas pochylał się nad dużym kawałkiem wyrzuconej przez morze kłody i wyjętym z futerału sporych rozmiarów nożem z zaciętością wycinał ostrzem jakiś wzór.

Ich sylwetki przypomniały dwóch gości, którzy przeszkodzili Brunonowi w rozmowie z Reni. Czy to dlatego o mającym się odbyć za kilka minut spotkaniu, został poinformowany SMS-em? Czy dziewczyna wpadła w ich ręce? Czy może umówili się tu z nim bez jej wiedzy? Co to może oznaczać? – zastanawiał się. Gdyby przynajmniej mógł sprawdzić, co się dzieje z Reni...

– Sekundę! – powiedział do siebie, z trudem powstrzymując okrzyk. – Z tego wynika, że mają mój numer do biura!

Najszybciej jak tylko mógł, bez światła latarki, zaczął wracać tą samą ścieżką i po oddaleniu się na kilkaset metrów od prowizorycznego tarasu, dotarł do ich rozgałęzienia.

Wyjął telefon i wybrał numer. W biurze nikt nie odbierał. Wybrał kolejny. Przez dłuższy czas wsłuchiwał się w długi, przerywany dźwięk, aż w końcu do jego uszu dobiegł znajomy głos:

– Dobry wieczór panu. Czy potrzebuje pan czegoś ode mnie?

Bruno usiadł na ziemi i odetchnął z ulgą.

– Przepraszam – kontynuowała Kasia – dzisiaj wyszłam wcześniej z biura.

– Nic się nie stało pani Kasiu – powiedział, wyraźnie już uspokojony. – Chciałem tylko przekazać, że przez kilka najbliższych dni biuro będzie nieczynne.

– To się świetnie składa – powiedziała z zauważalnym zadowoleniem w głosie. – Jadę w odwiedziny do siostry, na Śląsk. Ostatniej nocy kilkakrotnie wspomniał pan o jakimś chłopcu przechodzącym przez rzekę. Przypomniało mi to wycieczkę do Bydgoszczy sprzed prawie dwóch lat. Byłyśmy tam razem. Bardzo się za nią stęskniłam.

Bruno uśmiechnął się pod nosem. Dziewczyna była naprawdę bardzo pomocna.

– Tylko proszę nie zapomnieć do nas wrócić.

– Bardzo dziękuję. Cieszę się, że jest pan zadowolony z mojej pracy. Przynajmniej do tej chwili, bo przez roztargnienie nie zostawiłam panu listy zleceń, które zrobiłam na dwa kolejne dni, ale jeśli mogę, prześle ją mailem.

– Okej, dziękuję. Dam pani znać, kiedy będzie można wrócić do pracy. Ale jest jeszcze coś... – Bruno na chwilę zamilkł. – Dziękuję za pomoc tamtej nocy.

Z drugiej strony usłyszał cichy śmiech.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Kasia.

Bruno schował telefon do kieszeni i zaczął ostrożnie pokonywać schody prowadzące stromo w dół.

Zatrzymał się w miejscu, w którym kończyła się linia drzew, i rozejrzał się ostrożnie po plaży. Granatowe niebo zlewało się z głęboką czernią morza. Teren wokół Brunona wydawał się zupełnie opustoszały. Postanowił zaczekać i trochę lepiej poznać osoby, które od jakiegoś już czasu, dziwnym zbiegiem okoliczności, zwiedzały te same urokliwe zakątki Trójmiasta co on.

Minęła mniej więcej godzina i z chwilą, kiedy poczuł pierwsze zimne krople deszczu, usłyszał daleki odgłos rozmowy.

Od strony powalonego pnia, przy wodzie, szli dwaj mężczyźni. Ci sami,

których widział wcześniej. Jeden z nich rozmawiał przez telefon, jednak odległość i szum morza skutecznie uniemożliwiły Brunonowi usłyszenie czegokolwiek. Po chwili minęli go i gdy byli już w dostatecznie bezpiecznej odległości, ruszył za nimi. Widział, jak zatrzymali się jeszcze przez chwilę na niewielkim mostku nad Kaczą Rzeką. Jeden z nich odebrał przychodzące połączenie i po kilkusekundowej rozmowie, znacznie szybszym już krokiem udali się do zaparkowanego przy moło pojazdu.

Była to duża, ciemna furgonetka z charakterystyczną drabinką zamontowaną na tylnej części. Bruno spojrzął na tablice rejestracyjne. Niestety silne zabrudzenie, a do tego prawie stumetrowa odległość spowodowały, że ich odczytanie było niemożliwe.

Bruno postanowił sprawdzić, dokąd się udadzą. Deszcz padał coraz intensywniej, a silne podmuchy wiatru dodatkowo potęgowały chłód. Wsiadł do samochodu całkowicie przemoczony, włączył silnik, po czym nastawił ogrzewanie na maksimum i skierował ciepły nawiew na zziębnięte dłonie.

Pojazd z mężczyznami ruszył powoli z miejsca i po przejechaniu około dwudziestu metrów zatrzymał się na wysokości niewielkiego, białego apartamentowca. Kierowca kilkakrotnie wcisnął mocno pedał gazu i wprowadzając silnik na maksymalne obroty, zaserwował szykującym się do snu mieszkańcom całą porcję akustycznych wrażeń.

Przez wciąż jeszcze zaparowaną przednią szybę land rovera widział, jak tamci dojeżdżają do głównej ulicy, by tam z piskiem opon skrócić w lewo. Po kilku sekundach minęli niewielki łuk drogi i z głośnym rykiem silnika oddalili się w kierunku Sopotu.

Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza. Ruch był niewielki, ale sygnalizacja świetlna i konieczność utrzymania bezpiecznej odległości znacznie utrudniały Brunonowi śledzenie. Spozrzegł, że tylna szyba w drzwiach furgonetki jest prawdopodobnie wybita, bo na jej miejscu znajdowała się, przyklejona do karoserii taśmą klejącą, czarna folia.

To był jedyny szczegół, jaki udało mu się dostrzec do momentu, gdy pojazd, nie zatrzymując się na czerwonym świetle i przy wtórze klaksonów aut zmuszonych do gwałtownego hamowania, przejechał przez skrzyżowanie i zniknął za zakrętem.

Jeszcze przez godzinę próbował ich znaleźć, krążąc uliczkami Sopotu i Gdańska, jednak bezskutecznie.

W drodze do domu postanowił wstąpić na komisariat.

Zaparkował tuż przy budynku na wolnym miejscu oznaczonym napisem „TYLKO DLA POLICJI” w niewielkiej odległości od głównego wejścia. Wszedł do środka i skierował się do okienka, gdzie za prostokątną tabliczką z napisem „Dyżurny komisariatu” na skórzanym, obrotowym fotelu siedział tyłem młody funkcjonariusz w stopniu sierżanta. Na dźwięk zamykających się za Brunonem drzwi odłożył trzymaną w dłoni bułkę i odwrócił się twarzą w kierunku interesanta.

– Słucham pana?

– Dobry wieczór. Czy zastałem... – Bruno spojrzał w głąb pomieszczenia i zauważył Gregory’ego rozmawiającego ze starszym policjantem. Uśmiechnął się i wskazał palcem w jego kierunku. Młody człowiek kiwnął głową i odpychając się dłońmi od biurka, obrócił się do Gregory’ego, ale ten widząc Brunona, krzyknął z daleka:

– Daj mi minutkę!

Po chwili podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i otworzył je szeroko.

– Cześć. Chodź na górę – powiedział, popijając ostrożnie gorącą kawę z granatowego kubka, który w zderzeniu z chłodnym powietrzem w poczekalni zaczął intensywnie parować.

– Widzę, że dzisiejszej nocy nie masz zamiaru zmrużyć oka – powiedział Bruno na widok grubej teczki z dokumentami w dłoni Gregory’ego.

– Przeciwnie – skwitował tamten, unosząc ją w górę, po czym mrugnął

okiem i dodał: – Zamierzam ją sobie podłożyć pod głowę.

Ten bardzo żywy za dnia budynek, głośny od rozmów dobiegających z otwartych pokoi, słyszanych zewsząd dzwonekó telefonów i pełen biegających z dokumentami ludzi, teraz był zupełnie pusty.

Wchodzili na górę słabo oświetlonymi schodami, mijając ciemny, długi korytarz na pierwszym piętrze. Jedyne piętro wyżej, z otwartych drzwi do pokoju Gregory’ego, wydobywało się migające, niczym z lampy stroboskopowej, jasne światło.

– Ochujec już idzie przez tę dyskotekę. Tydzień temu mieli wymienić jarzeniówkę. Wszystko mi teraz miga w oczach! – powiedział wyraźnie już zirytowany Gregory. Wchodząc do pokoju, zgasił górne oświetlenie, pozostawiając jedyne źródło światła, którym była stara biurowa lampka na powyginanym drucie. – Chodź, siadaj – dodał, kładąc teczkę i kubek na biurku. – Czego się napijesz?

– Niczego, dzięki – odpowiedział Bruno, chociaż prawdę mówiąc, chętnie napiłby się czegoś ciepłego. Widząc jednak, że Gregory ma dużo papierkowej roboty, nie chciał zawracać mu głowy.

Policjant usiadł i popatrzył na niego.

– Dobry jesteś, Bruno – powiedział z uznaniem, zaciskając wargi i kiwając głową. – Poczytałem ostatnio trochę o tobie i cieszę się, że mogę osobiście poznać człowieka, który wysłał na tamten świat Tłustego Gorga cięższego dodatkowo o kilkadziesiąt gramów ołowiu.

– Każdy by trafił w coś takiego – powiedział skromnie Bruno. – Nawet moja świętej pamięci babcia.

Gregory się zaśmiał, po czym głośno zakaszłał.

– A jak twój partner? Nadal pracuje?

– Tak, tylko od tego czasu bardzo polubił golfy.

– No tak. Od lat nie wychodzą z mody – powiedział Gregory, mrugając prawym okiem. – Wiesz, mam wrażenie, że wyprzedzasz nas o krok.

– Uczę się od najlepszych – odparł Bruno.

– Tego wieczoru, gdy w klubie nocnym został pobity jeden koleś, miałem nasłuch na stacji. Postanowiłem wykorzystać ten incydent i zrobiliśmy tam pozorowany nalot. Oczywiście pod kątem znalezienia sprawcy. Wiedziałem, że Tomek spotkał się w tym miejscu już dwukrotnie z pracującą tam dziewczyną imieniem Reni. Nie wiem... – Gregory otworzył szufladę w biurku, sięgnął po papierosa, po czym odpalił go i dociskając plecy do drewnianego oparcia krzesła, mocno się zaciągnął. – Ale wiąże się z nią coś zagadkowego. Mamy tam informatora. Przekazał nam, że pytane o nią dziewczyny unikały rozmowy na jej temat, a nawet odczuł, jakby się czegoś bały. Podobno była w lokalu w czasie naszych odwiedzin, ale zdążyła czmychnąć i niestety nie udało mi się z nią porozmawiać – dodał, strzepując popiół do zrobionej z papieru prostokątnej popielniczki.

– I wszystko wskazuje na to, że w najbliższym czasie raczej się nie uda – odrzekł Bruno w czasie, gdy Gregory próbował sięgnąć dłonią po kubek.

Mężczyzna cofnął rękę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Mnie na szczęście udało się zamienić parę słów z tą dziewczyną – powiedział, widząc, jak podnoszą się do góry kąciki ust słuchającego. – Dowiedziałem się od niej, że na chwilę przed zaplanowanym wyjazdem do Berlina plany Laury uległy zmianie i zamiast pojechać na lotnisko dziewczyna wsiadła do zaparkowanego przy Ergo Arenie samochodu. Niestety nie wie, kto mógł siedzieć za kierownicą. Tym autem Laura miała dostać się bezpośrednio na miejsce.

– Co się, jak wiemy, nie udało.

– Dokładnie. Tomasz rozmawiał z Reni i poinformował ją, że ma dowody na to, że jej koleżanka nie targnęła się na swoje życie, ale ktoś jej pomógł zejść z tego świata.

– Niezbyt mądrze – powiedział spokojnie Gregory, pociągając łyk kawy. – No, chyba że miał przeczucie, że coś wie i chciał ją zachęcić do rozmowy bądź też sprowokować jakąś sytuację.

– Przypuszczam, że o to mu właśnie chodziło, i nie ma co ukrywać, że wyszło to aż za dobrze. – Gregory zacisnął powieki i kiwnął twierdząco głową. – Ona twierdzi, że przekazała tę informację pani Soni Roleski, u której Laura pracowała jako modelka.

– Tak, to wiemy. Jak na razie nie potwierdziliśmy tego, ale podobno się znały.

– A pani Sonia, według dziewczyny, złożyła propozycję wykupienia tych dowodów od Tomka. Ten, jak twierdzi Reni, wyraził na to zgodę i umówili się na spotkanie w parku Reagana, ale Tomasz nie przyszedł na to spotkanie.

– I tu postąpił mądrze – powiedział spokojnie Gregory.

– Ponieważ ślad po nim zaginął – dokończył Bruno.

– No tak... – Gregory podrapał się ręką po tyle głowy, robiąc kwaśną minę.

Bruno kontynuował:

– Pamiętasz? Tego wieczoru spakował pośpiesznie walizkę i przyśpieszył zaplanowany termin wyjazdu do rodziny o dwa dni.

– Zgadza się. Czyli jednak przeczuwał, że coś mu grozi.

– Niewykluczone. I jeszcze jedno: dzisiaj byłem ponownie umówiony na rozmowę z Reni. Zostałem o tym poinformowany SMS-em. Zamiast dziewczyny w miejscu spotkania czekały na mnie te dwa typki ze wzgórze, wiesz...

– Czyli... cholera! Prawdopodobnie mają już dziewczynę – powiedział Gregory wyraźnie zdenerwowany, rozgniatając w papierowej popielniczce wypalony zaledwie do połowy papieros.

– Niestety jak na razie wszystko na to wskazuje.

– Lub też, podszywając się pod nią w SMS-ie, chcieli zamienić z tobą parę zdań.

– Być może.

– A ci goście, Bruno... Potrafisz ich jakoś opisać?

– Niestety widziałem ich jedynie z daleka, a na dodatek było ciemno, ale mogę podać parę szczegółów.

Gregory wyjął notes i zaczął notować.

– Jeden był wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, bardzo szczupły. Drugi niższy o głowę, krępej budowy. Obaj ubrani w ciemne, prawdopodobnie skórzane kurtki. Ten niższy miał na głowie ciemną bejsbolówkę. Drugi miał kaptur, prawdopodobnie od bluzy znajdującej się pod kurtką. Wsiadli do – tu Gregory wykonał gest, jakby właśnie na tę informację czekał – amerykańskiej furgonetki GMC koloru ciemnego. Miała ona wybitą tylną szybę i niklowaną drabinkę na drzwiach. Krótko mówiąc, pojazd żywcem wyjęty z planu filmowego „Drużyny A”.

– Aaa... kojarzę – powiedział Gregory, uderzając końcówką długopisu w kartkę, tak jakby chciał postawić na niej wyraźną kropkę. – Ale najwidoczniej musieli im podprowadzić to auto, bo opis składu mi się... nie zgadza. Czyli są od nich... lepsi – dodał, odwracając się i sięgając po słuchawkę telefonu stojącego na małej szafce obok biurka. – Benek słuchaj – powiedział, biorąc do ręki kartkę, na której wcześniej notował. – Przekaż podległym chłopakom, aby zwrócili szczególną uwagę na furgonetkę GMC koloru ciemnego, z wybitą szybą w tylnych drzwiach. Pojazdem tym mogą poruszać się dwaj mężczyźni... – Przez chwilę Gregory trzymał słuchawkę przy uchu, kiwając jedynie głową. – Tak, mogą być niebezpieczni. Nie wykluczamy, że posiadają również broń palną, dlatego niech działają z zachowaniem szczególnych środków ostrożności. W razie napotkania takowych zawijamy ich i zabieramy do nas na poważną rozmowę. Zresztą zejdę do ciebie za parę minut i podam ci więcej szczegółów, ale to wysyłaj już teraz – dokończył i odłożył telefon.

Następnie spoglądając na Brunona dodał: – To już mamy załatwione, a teraz chodź na dół. Rozpoczniemy procedurę poszukiwania dziewczyny imieniem Reni.

W momencie, gdy zbliżali się już do drzwi wyjściowych prowadzących do poczekalni, Gregory zatrzymał się i podał mu swój numer telefonu oraz poradził, aby uważał na siebie i nie zaglądał w najbliższych dniach do biura. Widać było, że nie żartował.

Bruno zdał sobie sprawę, że nie wiedząc nawet kiedy, zabrnął w tym wszystkim na tyle daleko, że jemu również groziło niebezpieczeństwo.

Wrócił do swojego mieszkania parę minut po pierwszej w nocy. Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Pod strumieniem ciepłej wody zapominał o całym świecie. Czasem potrafił tak stać prawie godzinę, aż otaczająca go para, niczym w tureckiej łaźni, całkowicie wypełniła pomieszczenie łazienki.

Zjadł kanapkę z łososiem, która została z rana i spiralnymi schodami wspiął się do sypialni. Starannie zasłane łóżko, które zastał na górze, przypomniało mu o Kasi, bardzo miłej i kusząco pachnącej, która spała tu gościnnie poprzedniej nocy, podczas gdy on, w otaczających go alkoholowych oparach, mamrotał coś w pijackim amoku na sofie w salonie.

Spojrzał na telefon i odczytał pocztę. Miał dzisiaj trzy kursy, ale pierwszy na szczęście dopiero po południu. Dwa kolejne to przejazd z lotniska, godzina dwudziesta pięćdziesiąt pięć – pani Sonia Roleski. I stałe piątkowe zlecenie – pan Norton – przesunięte na godzinę dwudziestą trzecią trzydzieści.

Zdjął biały, frotowy ręcznik, którym owinięty był wokół pasa, rzucił go na stojący obok łóżka skórzany fotel z podnóżkiem, po czym wskoczył pod grafitową kołdrę.

Tej nocy nie mógł jednak zasnąć. Przewracał się z boku na bok, wracając myślami do ostatnich wydarzeń. Męczyły go wyrzuty sumienia. Nieustannie przed oczami pojawiała mu się postać młodej dziewczyny,

z którą nie udało mu się dzisiaj spotkać. Widział ją siedzącą na ławce z zaciśniętymi z niepokoju, trzymanymi kurczowo na kolanach dłońmi. Zaufała mu. Czy mógł cokolwiek zrobić, aby ją ochronić?

DZIEŃ ÓSMY

(PIĄTEK)

Szedł Długim Pobrzeżem, a gdy minął bramę Mariacką, wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer. Przez kilka sekund słyszał sygnał oczekiwania na połączenie, aż w końcu usłyszał znajomy głos:

– Tak, Bruno? Co masz? – zapytał pośpiesznie Gregory.

– Część, słuchaj, miałem do ciebie podjechać, ale wpadłem przypadkiem na trop furgonetki i tych dwóch gości.

– No mów!

– Nie uwierzysz. To są ludzie, których widziałem ostatnio w posiadłości państwa Roleskich.

– Ja pierdołę! Nie mogłeś lepiej trafić! – powiedział z zauważalnym przygnębieniem Gregory. – To jeden z najbogatszych ludzi na Pomorzu. Bardzo wpływowy gość. Ja ci wierzę. – Syknął z bólu. – Ale jeśli on jest w to zamieszany, to na razie mamy zdecydowanie za mało, by dobrać mu się do dupy. Z pewnością musimy znaleźć na niego coś więcej. Przykro mi, ale sam rozumiesz.

– Okej – odpowiedział Bruno. Wiedział, że niestety Gregory się nie mylił. Jedyne co mieli, to fakt, że jego dwaj ludzie byli na wzgórzu w Gdyni w momencie, w którym rozmawiał z podstawioną przez nich Wiki, a później ponownie widział ich przy klifie w Redłowie. To niewiele dla prokuratora – pomyślał – a wystarczająco dużo, by adwokaci Roleskiego pękli ze śmiechu.

– Słuchaj, w takim razie to oni stoją za porwaniem Reni – powiedział

Gregory.

– Niezupełnie – wtrącił Bruno.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał tamten z nieukrywanym zdziwieniem.

– Otóż nasza pani Wiki, bo tak naprawdę ma ona na imię, wodziła nas, delikatnie mówiąc, za nos. – Zamilkł na chwilę.

– No dajesz. – Gregory nie wytrzymał.

– Z początku sam nie mogłem w to uwierzyć, ale wszystko wskazuje na to, że możemy już przestać się o nią martwić. Dziewczyna pracuje dla nich.

– W takim razie niezła z niej dziwka – powiedział wyraźnie zdenerwowany Gregory.

– Wykorzystała zaufanie dziewczyny z Łodzi i zdobyła od niej adres, pod którym ta próbowała się ukryć i przeczekać. Zamiast niej, jak już wiesz, pojechali tam oni.

– Wystawiła ją bez skrpułów.

– Domyślam się też, na czym tak bardzo zależy tym śmieciom. Julia Koba zadzwoniła do Tomasza i to ona poprosiła go o poprowadzenie sprawy Laury. Musiała mieć dowody bądź wiedziała o czymś, co jednoznacznie wskazywało na to, że jej koleżanka nie popełniła samobójstwa. Tomek, aby niczego nie pominąć, zapewne nagrał rozmowę i to nagranie znajduje się na dyktafonie, którego niestety nie udało nam się odsłuchać. A ta Reni, ze swoją niewinną buzią, okazała się...

– Niezłą suką – przerwał mu Gregory, który najwyraźniej jeszcze nie ochłonął.

– Lepiej bym tego nie ujął, zwłaszcza że to ona wystawiła również Tomka. Słuchaj, ci dwaj goście stali jeszcze przed chwilą przy Motławie w pobliżu Sołdka. Nie wiem, co kombinują, ale dziewczyna jest przekonana, że przyniosę jej teczkę Tomka, i w tej chwili czeka na mnie na Cmentarzu Zapomnianych.

– Okej, powiadomię chłopaków i ją zwiną. Może w tej cholernej mgle uda im się znaleźć również ich. Ale powiedz mi jeszcze, co sprowadziło cię do posiadłości Roleskich?

– Pierwszy raz spotkałem państwa Roleskich zupełnym przypadkiem. Pomogłem pani Soni, gdy nocą natknąłem się na ich uszkodzone auto. Wzięła ode mnie wizytówkę i później zamówiła u mnie kurs na lotnisko.

– No tak. Wygląda to całkiem niewinnie.

– A dlaczego pytasz?

– Słuchaj, sprawdzamy tę osobę i mamy parę znaków zapytania. Właśnie oczekuję na pewne ustalenia, które będą dość istotne i pozwolą nam wiele wyjaśnić... Dlatego do tego czasu bądź ostrożny i czekaj na info.

– Okej. To powodzenia.

– Nie dziękuję, żeby nie zapeszyć – zakończył Gregory, który aż za dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że niestety wyczerpał już limit szczęścia na dzisiaj.

Właśnie przykładał jałową gazę do ustępującego już powoli krwawienia. Był mocno poobijany, a na jego twarzy znajdowało się kilka nieciekawie wyglądających otarć. Pod rozciętą prawą nogawką spodni, na łydce, miał założony prowizoryczny opatrunek i właśnie zabezpieczał kilkucentymetrowe rozcięcie na lewym przedramieniu, które z pewnością kwalifikowało się do szycia. Prowadzący samochód Wiluś po telefonicznej rozmowie z policyjnym lekarzem panią dr Ines, zmierzał właśnie w kierunku szpitala w Gdańsku.

Minionej nocy Gregory, przyrównując fragment mapy, który znajdował się w teczce Tomka, do kilkuset zdjęć przedstawiających plany terenu w województwie pomorskim, szukał podobieństw, na podstawie których mógłby zlokalizować przedstawiony na niej obszar.

Dwie krzyżujące się leśne drogi, kilka niewielkich polanek oraz stawów i gruba kreska pomiędzy drzewami to jedyne charakterystyczne szczegóły, jakie się na niej znajdowały.

Zastanawiał się, co może oznaczać ta mocna, kilkakrotnie poprawiona długopisem linia, umieszczona pośrodku lasu i biegnąca wzdłuż wąskiej przecinki. Znajdowała się na kartce poniżej prawego, naderwanego rogu, a więc zaraz pod brakującym fragmentem. Nad nią widoczna była kolejna niewielka linia stanowiąca część obrysu jakiegoś miejsca.

Dochodziła już prawie druga w nocy. Przeglądając satelitarne zdjęcia, zorientował się, że podobnie wyglądające leśne przecinki znajdują się w miejscach, w których dawniej biegły linie kolejowe, a które będąc już od wielu lat nieczynne, powoli zarastają roślinnością.

Zatem ta gruba kreska może przedstawiać most lub wiadukt kolejowy – pomyślał. Sprawdził wszystkie podobne odcinki na Pomorzu i dokładniej przyjrzał się jednemu z nich. Ustawił odpowiednio skalę i przyłożył swoją mapę do ekranu monitora.

Pasowała idealnie.

Był to kompleks leśny niedaleko Lęborka, a grubo zaznaczone kreską miejsce przedstawiało stary, nieczynny już od kilkadziesiąt lat, kamienny kolejowy most zwany – Młyńskim Wiaduktem.

Wydrukował całość mapy łącznie z jej brakującą częścią. Przez chwilę zastanawiał się, jakie miejsce może kryć się na obszarze oznaczonym w prawym górnym rogu.

Po tym, jak widział panią Roleski w Gdańsku, a od jej sekretarki dowiedział się, że oficjalnie już od kilku dni przebywa ona w Niemczech, była to kolejna zagadka, którą należało wyjaśnić. Postanowił, że to jej właśnie poświęci dzisiejsze popołudnie.

Po lekkim obiedzie wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Lęborka. Godzinę później minął niewielkie stawy oraz budynek, w którym dawno temu funkcjonował młyn. Jadąc kilkaset metrów leśną, nieutwardzoną drogą, dojechał do jej rozgałęzienia.

Po prawej stronie zauważył starą, nieczynną już linię kolejową, na której pomiędzy żelaznymi, pokrytymi rdzą szynami, wyrastały gdzieniegdzie

kilkumetrowej wysokości drzewa. Szlak biegł w gęstym lesie i zniknął za zakrętem.

Zostawił auto na poboczu i postanowił przejść jego śladem. Szedł po kamieniach i spróchniałych podkładach kolejowych, którymi po mniej więcej dziesięciu minutach dotarł do wiaduktu.

Była to ponad stuletnia, okazała betonowa konstrukcja. Tory na całej długości mostu porośnięte były niewielkimi krzewami.

Powoli doszedł do połowy jego długości i przytrzymując się ostrożnie metalowej, wyraźnie nadgryzionej już rdzą, dość niepewnej poręczy, spojrzął w dół. Wiadukt wsparty był na dwóch potężnych betonowych filarach o wysokości prawie sześciu pięter. Pomiędzy nimi, na dole, przepływała szeroka na około trzy metry rzeczka.

Spojrzął na zegarek.

Dochodziła już piętnasta. Wiedząc, że wkrótce zacznie się ściemniać, zerknął na mapę i zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie. Wszystko wskazywało na to, że zaznaczone miejsce powinno znajdować się kilkaset metrów za mostem po lewej stronie. Po przejściu około trzystu kroków zauważył bardzo wąską ścieżkę prowadzącą od torów w głąb lasu. Zszedł z kolejowego nasypu w kierunku gęsto rosnących drzew.

Po minucie pomiędzy sosnami natrafił na metalową, ledwie zauważalną w suchej gęstwinie siatkę ogrodzeniową. Z powodu dużej ilości rosnących wokół krzewów nie był jednak w stanie dostrzec niczego za nią. Idąc przez chwilę wzdłuż ogrodzenia, w pewnym momencie doszedł do miejsca, gdzie mocno wykrzywiony betonowy słupek umożliwiał dość łatwe przejście na drugą stronę.

Wokół panowała zupełna cisza.

Spojrzął raz jeszcze na mapę. To musiało być dokładnie to miejsce. Przeszedł na drugą stronę i idąc wśród drzew, mijał po drodze niezliczone sterty śmieci w postaci starych ubrań, zużytych opon i butelek, które z upływem czasu zostały już w znacznej części porośnięte roślinnością. Po

niespełna minucie doszedł do małego, drewnianego domku. Jego ściany oraz dach osłonięte były siatką maskującą, a wokół niego, na pobliskich drzewach, zawieszane były tarcze strzelnicze, tak zwane francuzy, przedstawiające człowieka w kapeluszu mierzącego z pistoletu. Takie same, jakie używane są między innymi podczas szkolenia strzeleckiego w policji.

Obszedł budynek, sprawdzając ostrożnie, czy nie ma w nim nikogo.

W zalegającym na kilka metrów od budynku błocie zauważył ślady kół motoru i kilkadziesiąt pustych butelek po alkoholu, w znacznej już części rozbitych. Prawdopodobnie one również służyły jako cele, bo cały teren pokryty był niezliczoną ilością łusek.

Gregory pochylił się i podniósł jedną z nich. Następnie wyjął z kieszeni papierową chustkę i wytarł łuskę z błota. Z łatwością rozpoznał, że należała ona do naboju 9 mm Parabellum używanego obecnie w większości pistoletów wojskowych i policyjnych, a także w pistoletach maszynowych.

Drzwi do domku były zabezpieczone jedynie grubo splątanym drutem. Gregory zdjął go i po niespełna minucie znalazł się we wnętrzu.

Na niewielkiej powierzchni, stanowiącej kwadrat o boku około sześciu metrów, panował spory bałagan. Wokół leżały porozrzucone części od silnika, klucze francuskie, mnóstwo brudnych od oleju szmat i kilka starych, zardzewiałych kanistrów. W powietrzu unosił się zapach smaru. Pośrodku ściany, na wprost głównego wejścia, znajdowało się jedno małe, zakratowane od wewnątrz okno, a jego brudna szyba skutecznie przesłaniała widok. Cała podłoga pokryta była grubą warstwą porozrzuconych starych gazet ze śladami zabłoconych podeszew z dość wyraźnym bieżnikiem, jaki znajduje się zazwyczaj w butach wojskowych.

Gregory przez kilkanaście minut rozglądał się dokładnie wokół siebie. Niestety, po przejrzeniu dziesiątków rzeczy, w tym również trzech metalowych szuflad z zakrytej kocem szafki narzędziowej oraz kilku schowków pod sufitem, nie zauważył niczego interesującego.

W chwili, gdy podchodził już do wyjścia, zatrzymał się na progu

i odwrócił.

Spojrzał raz jeszcze na podłogę. Na grubej stercie brudnych od błota gazet leżało kilka znacznie czystszych od pozostałych.

Podszedł bliżej i przyjrzał im się uważniej. Przykucnął, a następnie uniósł jedną. Dostrzegł, że ma ona ślady obuwia, ale jedynie od spodniej strony. Podobnie jak kilka pozostałych, leżących obok. A więc z jakichś przyczyn te gazety zostały odwrócone.

Wstał i zdecydowanym ruchem odgarnął je stopą. Jego oczom, na betonowej wylewce, ukazała się mała drewniana kłapa. Wziął do ręki niewielki łom leżący w pobliżu imadła i wsunął go w szczelinę w podłodze. Pociągnął delikatnie do siebie. Zawiasy lekko zaskrzypiały i kłapa powoli uniosła się w górę.

Zauważył pierwszy drewniany szczebel małej drabinki prowadzącej na dół i poczuł uderzenie przesiąkniętego fetorem zimnego, wilgotnego powietrza. Włączył latarkę i skierował strumień światła w stronę ciemnej dziury. Pod nim znajdowało się pomieszczenie o wielkości podobnej do tego, w którym właśnie stał. Zszedł ostrożnie na dół. Powoli oświetlał leżące wokół przedmioty.

Było to pomieszczenie bez okien z zimną, betonową podłogą i ścianą z ułożonych krzywo, jakby w pośpiechu, czerwonych cegieł. Na dużej, ustawionej pośrodku pomieszczenia drewnianej ławie, znajdowały się puste butelki po piwie, lampa naftowa oraz różne części damskiej garderoby. Pod nimi leżały powyrywane strony z pism pornograficznych, a w lewym kącie, w róg pomieszczenia, rzucony był stary siennik z widocznymi na nim śladami krwi.

Gregory stanął przy ścianie na wprost od drabiny i oświetlił podłogę. Leżała na niej metalowa miska, w której znajdowały się resztki jakiejś zupy. Obok zauważył przewrócone niewielkie wiadro, z którego ktoś najwyraźniej wysypał całą zawartość. Wszystkie śmieci były dokładnie przejrzane, ponieważ znajdujące się w nim wcześniej, pogniecione

papierowe kartki, zostały rozprostowane. Wśród nich znajdowała się jedna naderwana, na której widoczny był fragment ręcznie zrobionego zapisu: „Naszą zgubę znajdziecie w...”.

Jego uwagę przykuło błoto na własnych butach. Przyjrzał im się dokładniej. Dopiero teraz spostrzegł, że po lekkim wyschnięciu były one mocno oblepione szarzieloną gliną. Miała ona dość charakterystyczną, rzadko spotykaną barwę. Na wysokości jego twarzy zawieszona była duża tablica ze zdjęciami różnych typów broni, a w pustym, znajdującym się mniej więcej pośrodku niej miejscu, przyklejony był niewielki naderwany skrawek mapy. Gregory wyjął z kieszeni skserowany plan przedstawiający fragment leśnego obszaru, dokładnie ten, który znajdował się w teczce Tomka, i przyłożył do niej.

– Nie doceniłem naszego detektywa – powiedział cicho do siebie. – W dniu zniknięcia Tomek najwidoczniej był tutaj, więc w jakiś sposób trafił w to miejsce przede mną.

Nagle do uszu Gregory’ego dobiegł głośny brzęk tłuczonego szkła. Wyłączył latarkę i w kilka sekund wbiegł po drabinie na górę. Chciał zamknąć właz, ale nie było już czasu na zatarcie śladów wizyty. Wyraźnie słyszał rozmowę i głośny śmiech szybko zbliżających się mężczyzn. Ostrożnie wychylił się z budynku i zauważył przesuwający się po drzewach strumień światła latarki.

Było już ciemno, ale po odgłosach kroków zorientował się, że nadchodzą od tylnej strony domu. Od spotkania z nimi dzieliły go już tylko sekundy. Nie zastanawiając się dłużej, wybiegł na wprost i zniknął w mroku pomiędzy drzewami.

Wracał dokładnie tą samą drogą, którą tu dotarł. Po chwili doszedł do starych torów i zaczął biec w kierunku mostu w stronę pozostawionego samochodu.

Minął już połowę długości betonowego wiaduktu i gdy po paru sekundach dobiegał do końca przęsła, usłyszał za plecami głośny ryk

terenowego motocykla.

Odwrócił się, wyciągając broń.

Widział jedynie, jak ktoś zbliża się z bardzo dużą prędkością. Nie zmieniał on toru jazdy i wyraźnie, dodając jeszcze mocniej gazu, celował wprost w niego.

Gregory, oślepiiony światłem z reflektora, wymierzył i gdy dzieliło go od motoru zaledwie kilka metrów, oddał strzał. W tym samym momencie poczuł silny ból przedramienia i odskoczył na bok, przelatując przez metalową barierkę mostu. Uderzył mocno o ziemię i przez jakiś moment staczał się w dół po stromiźnie. Po kilku sekundach zatrzymał się i leżąc na plecach, spojrzał w górę.

Wysoko nad głową, na tle przysłoniętego ciemnymi chmurami księżycy, zauważył ogromne betonowe przęsło mostu. W oddali słyszał jeszcze, zanikający powoli, odgłos silnika motocykla. Wstał i obolały zaczął w ciemnościach wchodzić betonowymi długimi schodami w górę. Po pokonaniu ponad osiemdziesięciu stopni wyjął telefon i wybrał numer. W słuchawce usłyszał głos kumpla:

– Dajesz. Co u ciebie?

– Słuchaj, Wiluś, przyjeżdżaj pilnie z ekipą w okolice Młyńskiego Wiaduktu. Znalazłem ich dziuplę – powiedział z wyraźną trudnością, chowając broń do kabury zawieszanej na szelkach. Następnie udał się powoli w kierunku pozostawionego przez siebie auta i przez prawie godzinę, do momentu, aż usłyszał dźwięk policyjnych radiowozów, ukrywał się w jego pobliżu.

Miał rozciętą kurtkę na lewym przedramieniu i dość mocno krwawiąca pod nią ranę. Najwyraźniej napastnik zaatakował go nożem, jednak na tyle nieprecyzyjnie, że jedynie go drasnął. Nie oznaczało to bynajmniej, że Gregory zarzucał mu brak profesjonalizmu. Wręcz przeciwnie. Niestety po tym, co widział, uświadomił sobie, że ma do czynienia z dobrze wyszkolonymi i bezwzględными zawodowcami.

Wiedział również, że dzisiejszego wieczoru jedynie przypadek sprawił, że mógł teraz w ogóle czuć cokolwiek.

Gdy ponad godzinę temu udało mu się wspiąć po schodach na wiadukt, zauważył na torach ciągnącą się przez kilka metrów strużkę świeżej krwi. Zdał sobie wtedy sprawę z tego, że najprawdopodobniej trafił go z broni tuż przed jego atakiem i to z pewnością uratowało mu życie.

Bruno doszedł właśnie w pobliże ulicy Ogarna, gdzie podczas śledzenia furgonetki, zaparkował swój samochód. Obserwowane przez niego auto już odjechało.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina dwudziesta czterdzieści. Przypomniawszy sobie, że za kwadrans ma odebrać z lotniska w Gdańsku panią Sonię. Szybkim krokiem podszedł do stojącego za wysokim żywopłotem land rovera.

Z powodu kiepskiej widoczności był na miejscu parę minut po czasie. Pani Roleski czekała już w terminalu, ale wyraźnie zadowolona z udanego pokazu nie robiła Brunonowi wyrzutów z powodu spóźnienia.

– To miłe, że się pan zjawiał – powiedziała z dozą uszczypliwości, pozostawiając bagaż i kierując się w stronę zaparkowanego pojazdu.

Bruno wziął walizkę i po wysunięciu dłuższego ramienia uchwytu, podążył za klientką.

– Jak wrażenia z wyjazdu, pani Soniu? – zapytał, chcąc nawiązać rozmowę, choć słyszał wyraźnie, jak kobieta podśpiewuje, co jednoznacznie wskazywało, że wszystko poszło raczej zgodnie z planem.

Pani Roleski zatrzymała się na moment i omiotła go wzrokiem od stóp aż po czubek głowy.

– Dziękuję, niezapomniane – odpowiedziała, po czym nie wchodząc w szczegóły, odwróciła się i ruszyła przed siebie, nucąc pod nosem jeszcze głośniej.

Doszli do szklanych przesuwanych drzwi prowadzących na parking. Pani

Sonia przystanęła na chwilę, zarzucając długi, błękitno-granatowy szal, który owinął się wokół jej smukłej szyi. Następnie, odwróciwszy się do Brunona, dodała:

– Z powodu mgły lot miał być odwołany, dlatego zadzwoniłam do męża i powiedziałam mu, że przylecę dopiero jutro. Ostatecznie go jednak nie zawiesili, więc prawdopodobnie zrobię w domu niespodziankę.

Chwilę później wyjechali z terenu lotniska. Na wysokości Niedźwiednika minęli kolorowo oświetloną fontannę znajdującą się pośrodku lustra wody niewielkiego zbiornika. W gęstej mgle widoczna była jedynie jej poświata.

Bruno spojrzął we wsteczne lusterko auta i przez pewien czas przyglądał się pani Soni. W ciepłym świetle lampki samochodowej jej twarz wyglądała naprawdę uroczo. Piękna kobieta – pomyślał w chwili, w której pani Roleski, poprawiając swoje czarne, lśniące włosy, zauważyła jego wzrok. Jednak bez uśmiechu, jak to miała w zwyczaju, nie przedłużając nawet na moment spojrzenia, odwróciła głowę w stronę szyby i popatrzyła w dal.

Była zamyślona, a jej twarz wyraźnie skrywała jakąś tajemnicę. Czy ta kobieta może być w to zamieszana? Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Historia o próbie wykupienia przez nią dowodów od Tomka nie wydawała mu się prawdziwa.

Wjazd na teren jej posiadłości wiązał się z dużym ryzykiem, ale skoro nikt nie wiedział o jej powrocie, była szansa, że nie czeka tam na niego żadna niemiła niespodzianka.

Dwadzieścia minut później dojechali do wysokiego kamiennego muru. Przy bramie wjazdowej czekali niewiele ponad minutę, podczas której Bruno postanowił wyjść na chwilę i przyjrzeć się dyskretnie budynkowi należącemu do ochrony. Podchodząc do niego, zauważył zamontowaną na skraju dachu, z podglądem na przedpolu bramy, kamerę przemysłową. Prawdopodobnie cały teren był monitorowany.

W czasie, gdy przebywał na zewnątrz, nie mógł słyszeć wibrującej,

umieszczonej w schowku podłokietnika komórki. Po paru sekundach na poczcie głosowej nagrała się wiadomość:

„Tu Gregory. Bądź ostrożny, przyjacielu. Znaleźliśmy ciało młodej, ciemnoskórej modelki, która pracowała w agencji naszej pani Roleski. Prawdopodobnie Sonia jest osobą, która widziała ją jako ostatnia”.

Bruno zauważył zbliżającą się od strony wysokich drzew ciemną postać i wrócił do auta. Przywitał ich ochroniarz, którego wcześniej nie widział. Sprawdzał, kto wjeżdża, i dopiero po zauważeniu swojej pracodawczyni otworzył bramę. Zatem nie spodziewali się jej powrotu.

Po chwili Bruno wjechał na teren posiadłości i minąwszy małą fontannę przed pałacykiem, zatrzymał się przed głównym wejściem. Pani Roleski spojrzała na okazały budynek jak ktoś, kto po bardzo długim czasie wraca z utęsknieniem do domu.

– Dziękuję panu – powiedziała bez zbędnych uprzejmości i nie odwracając głowy, wysiadła.

Bruno przeszedł na tył pojazdu i po wyciągnięciu bagażu ruszył z nim po schodach. Kobieta nie czekała na niego i kręcąc zmysłowo biodrami, pokonywała właśnie ostatnie stopnie, zbliżając się powoli do głównego wejścia. Tam oczekiwały już na nią dwie osoby ze służby.

Zaraz po przekazaniu bagażu Bruno wrócił do samochodu. Usłyszał sygnał informujący, że bateria w jego telefonie jest na wyczerpaniu. Szukał przez chwilę kabla do ładowarki, lecz nie mogąc go znaleźć, zdecydował, że podłączy telefon w domu. W czasie, gdy zaglądał do schowka, zauważył, jak pani Sonia, odchylając lekko zasłonę, obserwuje go dyskretnie z okna na pierwszym piętrze.

Ruszył powoli w kierunku bramy i objeżdżając niewielki gazon, dostrzegł małych rozmiarów błyszczący przedmiot, leżący na tylnym siedzeniu samochodu. Z całą pewnością należał on do jego klientki, po której w całym jeszcze wnętrzu pojazdu unosił się przyjemny zapach perfum. Wychylił się mocno do tyłu i sięgnął po niego dłonią. Był to

widziany już przez niego łańcuszek, z którym pani Roleski nie rozstawała się nawet na chwilę. Obejrzał go dokładnie, po czym schował do wewnętrznej kieszeni kurtki. Jednego był teraz całkowicie pewien – chociaż samo spotkanie pani Soni było niewątpliwie dziełem przypadku, to jej rola w prowadzonym przez nich śledztwie z pewnością nie była bez znaczenia. Nie chciał już zawracać do pałacyku, a znaleziony przedmiot postanowił oddać przy najbliższej okazji.

Gdy był już w odległości około stu metrów od wyjazdu z rezydencji, minął miejsce, w którym widział ostatnio dwóch mężczyzn spotkanych kilka godzin temu przy Motławie.

Zbliżał się już do ostatniego zakrętu przed bramą. W momencie, gdy wchodził w ostry łuk, nagle zwolnił, odbijając mocno w stronę prawego krawężnika. Na środku zwirowej ścieżki, którą jechał, plecami do niego, w świetle reflektorów stała nieruchomo postać z niemalże białymi jak śnieg długimi włosami. Mocne samochodowe światła rzucały blask na wysoką, bardzo szczupłą sylwetkę człowieka, ubranego w długi, sięgający do kostek, przeciwdeszczowy płaszcz. Był on bardzo charakterystyczny, wykonany z mocno połyskującego materiału.

Człowiek ów, mając świadomość tego, że nadjeżdża pojazd, nie zszedł jednak z drogi. Bruno minął go powoli, przejeżdżając bardzo blisko i prawie ocierając się o niego lusterkiem. Gdy był już mniej więcej na jego wysokości, nieznajomy odwrócił się, unosząc głowę.

Był to mężczyzna z rażąco białą twarzą i z mocno wystającymi kośćmi policzkowymi. Spojrzał spokojnie na Brunona spod białych brwi, ukazując swoje czerwone, niczym u laboratoryjnej myszy, niewielkie oczy, a na jego twarzy zarysował się uśmiech. Bruno minął go i jeszcze przez chwilę widział we wstecznym lusterku samochodu, jak tamten znika powoli we mgle.

Ten uśmiech – pomyślał – nie wyrażał uprzejmości. Był to zimny, nieokazujący żadnych emocji skurcz twarzy z oczami sadysty, które

świeciły w chorej radości, jakby za chwilę miało wydarzyć się coś, na co z utęsknieniem niecierpliwie oczekiwał.

Bruno zjechał ze zwirowej drogi na trawnik i zatrzymał samochód za wysokim na około pięć metrów żywopłotem, po czym zgasił światła.

– Zaraz – powiedział do siebie. Przypomniał już sobie, gdzie widział ostatnio płaszcz, w który ubrany był spotkany przed momentem przyjemniaczek. Znajdował się w furgonetce, którą parę godzin temu przeszukał na ulicy Ogarna. Był zawieszony pod sufitem, tuż obok uniformu pracownika ochrony lotniska.

Nigdy wcześniej nie spotkał się z tak skrajną odmianą albinizmu. Te białe, długie włosy... Nadal je widział, nawet gdy zamknął oczy. Ich rażący, rzadko spotykany jasny kolor... Czegoś takiego nie da się zapomnieć... – pomyślał i nagle przez głowę przetoczyło mu się wspomnienie z ostatniej nocy, na chwilę po tym, jak został szczęśliwie wybudzony ze snu. Ścisnął mocniej kierownicę. Ta osoba! Ta, która używała sygnałów dźwiękowych w pojeździe pod jego oknami, a którą widział przez szybę swojego loftu, biorąc ją wtedy omyłkowo za kobietę... To z pewnością był ten sam gość!

A więc prawdopodobnie już go namierzyli. Być może ktoś spłoszył ich tamtej nocy, ale nie ulegało wątpliwości, że na pewno wrócą.

W wyrazie twarzy tamtego mężczyzny było coś jeszcze. Bruno odniósł niepokojące wrażenie, że pomimo tego, iż widział się z nim twarzą w twarz po raz pierwszy, człowiek ten dobrze wiedział, kim jest.

Głos rozsądku podpowiedział mu, że za kilkadziesiąt metrów raczej nie będzie czekała na niego otwarta szeroko brama, a ochroniarz nie pomacha mu ręką na pożegnanie.

W takim razie nie było już odwrotu. Rozejrzał się wokoło. Mgła ograniczała widoczność do około dwudziestu metrów. W głowie, jak mantra, ciągle brzmiały powtarzające się słowa Gregory'ego bezlitośnie informujące o tym, że bez dostatecznych dowodów, wskazujących

jednoznacznie na powiązanie ludzi Roleskiego z uprowadzeniem Tomasza sprawa nie ruszy z miejsca.

Wiedział, że nie będzie bardziej sprzyjającego momentu.

Wysiadł z auta i skierował swoje kroki w stronę budynku starej winiarni. Przeszedł kilkadziesiąt metrów, wzdłuż niewielkiego betonowego murku, aż dotarł do wysokiego, rozłożystego świerka.

Przykucnął w bezruchu. Zauważył poruszający się energicznie po trawniku strumień światła latarki. Kilka sekund później minął go mężczyzna w uniformie ochroniarza.

Bruno wstał i schodząc po trzech niewielkich schodkach, wszedł na wąską asfaltową drogę. Spostrzegł, że prowadziła ona do tylnej bramy, która również umożliwiała wjazd do posiadłości. Udał się w przeciwną stronę i mijając po drodze kort tenisowy, doszedł do ciemnego, blaszanego garażu.

W niewielkiej odległości za nim rosło kilkanaście wielkich, starych dębów. Widział je, będąc tu ostatnio za dnia. Przypomniawszy sobie, że znajdowały się one w pobliżu wejścia do budynku, który zamierzał właśnie odwiedzić.

Podszedł do garażu. Był on jedynie przymknięty. Zajrzał ostrożnie do środka. Przez niewielkie prostokątne okno dostawało się tu słabe światło z pobliskiej latarni. Padało ono na duży zabłocony pojazd. Przyjrzał mu się dokładniej.

Była to poznana już przez niego wcześniej furgonetka.

Zatrzymał się na chwilę i wsłuchiwał przez moment w odgłosy otoczenia. Ograniczona widoczność stwarzała zagrożenie, że może on wpaść na kogoś z ochrony lub – co gorsza – w ręce poznanych już typków.

Wokół panowała zupełna cisza. Jedynie z oddali dobiegało rytmicznie się powtarzające skrzypienie jakiegoś obracającego się metalowego elementu, przypominające hałas słyszalny podczas pracy niewielkiej elektrowni wiatrowej.

Za blaszaną konstrukcją garażu zauważył ciemną ścianę. Podeszedł do niej i opierając dłoń o zimny kamień budynku, przesuwał się powoli do przodu. Przeszedł jeszcze kilkanaście metrów, gdy nagle jasny blask oświetlił znajdujący się przed nim plac. Odskoczył od kamiennego muru, chowając się za wielki pień drzewa. Pod jego stopami, w małym piwnicznym okienku, ktoś włączył światło. Z odległości około pięciu kroków spojrzął na cztery małe szybki, przedzielone szprosem w kształcie krzyża. Pomimo iż od środka były one zachlapane ciemną farbą, udało mu się zauważyć sylwetkę poruszającej się wewnątrz postaci.

Odszedł na kilka metrów od źródła światła i mijając róg budynku, po raz kolejny zniknął w mroku. Wyciągnął dłoń i ponownie dotykając kamiennej ściany, przesuwał się wzdłuż niej do momentu, aż znalazł się przy wejściu do winiarni.

Chwycił za ozdobną, metalową klamkę, po czym nacisnął ją delikatnie. Lewe skrzydło dużych, drewnianych wrót, otworzyło się wyjątkowo łatwo. Powoli wsunął się do środka i zamknął je za sobą.

W powietrzu unosił się zapach dopalających się świeczek i coś, co przypominało mu charakterystyczny odór zalanej piwem podłogi. Wewnątrz panował mrok i chłód podobny do tego na dworze.

Zauważył, że na końcu długiego na około dwadzieścia metrów korytarza, znajdują się schody prowadzące w dół. Wyczuwając pod nogami kamienną posadzkę, ruszył wolno w ich kierunku. Po kilkunastu sekundach postawił stopę na pierwszym, dobrze już nadgryzionym zębem czasu, stopniu. Wyciągnął prawą dłoń i chwycił nią drewnianej poręczy.

Na chwilę przystanął. Odniósł wrażenie, jakby usłyszał czyjś głos dobiegający z dołu. Stawiając ostrożnie kroki, zaczął schodzić do piwnicy. Będąc już na dole, popatrzył w prawo na rząd dużych drewnianych beczek, ułożonych w kształt piramidy. Kilka metrów za nimi, przy podłodze pod drzwiami, widoczny był jasny pasek światła.

Bruno podeszedł nieco bliżej. Przez szczelinę u dołu słychać było cichy,

powtarzający się odgłos kroków, tak jakby ktoś chodził tam nieustannie w kółko.

Zauważył niewielką wnękę znajdującą się na prawo od drzwi. Skierował się w jej stronę z nadzieją, że w tym czasie nikt nie wyjdzie z pomieszczenia. Wszedł do ciemnego małego pokoju. Wyciągnął dłoń i wyczuwając pod nią stertę grubych tkanych worków, takich samych w jakie pakuje się gruz, schował się za nie, przykrywając jednym z nich.

Przez chwilę tkwił tak nieruchomo, oczekując na jakiś sygnał, niewielki chociaż znak, który mógłby zdradzić powiązanie Tomka z tym miejscem, a przede wszystkim utwierdzić go w przekonaniu, że jego przyjaciel żyje i jest cały.

Nagle za drzwiami rozległ się głośny dźwięk telefonu i odezwał się gruby, męski, wyraźnie zdenerwowany głos:

– Jak to go, kurwa, nie macie! Nie wyjeżdżał?! O czym ty mówisz?!

Na chwilę zapadła cisza, po której do Brunona dotarł odgłos rzuconej o ścianę butelki.

– Przeszukajcie mi całą posiadłość! – ponownie rozkazał głos, po czym dodał trochę ciszej, jakby do kogoś znajdującego się razem z nim w pomieszczeniu. – Zostań tutaj. Zaraz wracam.

Teraz Bruno zrozumiał, że i tak nie udałoby mu się wyjechać za bramę.

Drzwi się otworzyły, a próg minął niski, barczysty mężczyzna. Odwróciwszy się, zatrzasnął je mocno za sobą, a ktoś od środka zamknął je natychmiast na metalową zasuwę.

Mężczyzna stanął przez moment w bezruchu i powoli rozejrzał się wokół siebie. Następnie sięgnął dłonią w kierunku niewielkiej, wiszącej na ścianie zardzewiałej skrzynki i przekręcił znajdujące się w niej pokrętko. Ostre, jasne światło zalało korytarz.

Bruno wstrzymał na chwilę oddech. Po upływie kilku sekund, słysząc ciężkie kroki, spojrzął przed siebie. Z ukrycia widział szybko oddalającą się postać. Jej mocno przygarbiona sylwetka i sposób poruszania się ewidentne

zdradzały, że na drodze wczesnej już ewolucji do obecnych czasów, człowiek ten zrobił sobie poważne skróty. W kilka sekund minął on korytarz i dużymi susami wbiegł po schodach na górę. Chwilę później głośne trzaśnięcie drzwi oznajmiło, że opuścił budynek.

To był moment, ale Bruno był w stu procentach pewien tego, co przez ułamek sekundy widział. Na rozłożonym na podłodze kocu, z ręką przykutą do pionowej, metalowej rurki, leżał Tomasz. Tak. To z całą pewnością był on! Był brudny i znacznie szczuplejszy. Miał na sobie potargane ubranie i nie wyglądał dobrze. Na szczęście Bruno zauważył, jak przez krótką chwilę poruszał lekko głową.

Starał się opanować nagłe podniecenie. Wiedział już bez wątplenia, że ludzie Roleskiego siedzą w tym po uszy. Zatem nic nie stało na przeszkodzie, by Gregory ściągnął tu swoją ekipę.

Wyjął telefon i wybierając numer, z przerażeniem zauważył migającą, w prawym górnym rogu wyświetlacza, ikonę baterii. Tylko cztery słowa: „Roleski się odkrył. Przyjeżdżaj”. Powiniennem zdążyć – pomyślał, nie przewidując jednak najważniejszego. W miejscu, w którym się znajdował, grube kamienne mury piwnicy skutecznie blokowały sygnał nadajnika sieci komórkowej.

– Jasny gwint – powiedział cicho, z trudem hamując emocje.

Przez parę minut panowała zupełna cisza.

Bruno wstał i podszedł bliżej w stronę oświetlonego korytarza. Z tego miejsca słyszał ciche, lecz narastające z każdą chwilą, dochodzące do niego z zewnątrz nerwowe krzyki biegających i szukających go ludzi. Ich głosy z sekundy na sekundę stawały się coraz wyraźniejsze, aż w końcu do jego uszu dotarł huk, uderzających o ścianę, grubych drewnianych drzwi.

– Ślady, szefie! Wyraźnie prowadzą w to miejsce! – powiedział jakiś głos.

– Stań przy drzwiach, a ty chodź ze mną! Dokładnie przeszukaj mi wszystkie pomieszczenia! – rozkazał ktoś, kto najwyraźniej był tu

najważniejszy.

– Nikogo tu nie ma! – powiedział po minucie jakiś mężczyzna z wyczuwalnym rosyjskim akcentem.

– Schodzimy! – krzyknęła osoba, którą słyszał wcześniej tu, na dole.

Bruno cofnął się i oparł plecami o zimną, wilgotną ścianę. Wiedział już, że raczej nie uniknie konfrontacji. Włożył prawą dłoń do kieszeni kurtki i wyjął z niej niewielki, sporej wagi przedmiot. Była to pałka teleskopowa, która, odpowiednio użyta, może stanowić dość skuteczną broń.

Przez chwilę wsłuchiwał się w odgłosy kroków dwóch osób schodzących do piwnicy. Jeszcze ich nie widział, ale zdawał sobie sprawę z tego, że są bardzo blisko. Mocnym wymachem ręki w dół rozłożył metalowe ramię pałki. Wiedział dobrze, że przestępcy mają przewagę, dlatego dla zwiększenia swojej szansy postanowił wykorzystać element zaskoczenia.

Podszedł do stosu beczek i przyłgnął do nich lewym ramieniem. Ścisnął mocno zatopiony w gumie metalowy uchwyt „batona” i na moment znieruchomiał. Coś zwróciło jego uwagę.

Zorientował się, że odgłosy kroków nagle ustały. Przez kilka sekund pomieszczenie piwnicy wypełniła głucha cisza.

– Słyszycie to?! – krzyknął ktoś nerwowo grubym, ochrypłym głosem. – Nie wiem jak wy, ale ja się zmywam – dodał.

Bruno usłyszał nagłe zamieszanie i po kilku sekundach do jego uszu dobiegł, narastający z każdą chwilą, głośny dźwięk policyjnych sygnałów.

– Policja! – Usłyszał wyraźny okrzyk na zewnątrz.

– Na ziemię! Na ziemię, kurwa! – dodał stanowczo kolejny.

W tym samym momencie ktoś bardzo energicznie przesunął metalową zasuwę i otworzył znajdujące się w jego pobliżu drzwi. Dokładnie te same, za którymi przetrzymywany był Tomasz. Po chwili, na jasno oświetlony korytarz, wybiegł wysoki mężczyzna. Był to ten sam albinos, którego napotkał w czasie przejazdu zwirową alejką. Chciał wbiec na górę, ale

będąc tuż przed schodami, dostrzegł go kątem oka i nie zatrzymując się, natychmiast zmienił kierunek.

Teraz, z głośnym, nienaturalnym krzykiem, zaczął się szybko zbliżać. W jego brzydocie było coś intrygującego, coś, co instynktownie przykuwało wzrok. Ta trupio blada, pomarszczona w gniewie twarz i białe, falujące długie włosy mogły zaburzyć zdolność obserwacji, uniemożliwiając dostrzeżenie rzeczy naprawdę istotnych. Pomimo tego uwaga Brunona skupiła się na jego prawej ręce sięgającej pod rozpiętym płaszczem do dużego futerału zawieszzonego na pasie. Wiedział, że tym razem musi być szybszy.

W ułamku sekundy przed oczami po raz kolejny stanęło mu wspomnienie z ostatniego dnia służby. Czy fakt, że nie mógł o nim zapomnieć, był karą za serię rażących uchybień, które wtedy popełnił? Miał pełną świadomość, że gdy tamtej mroźnej nocy nie powiązał znalezionych przez Magnusa tablic nagrobnych z poszukiwanym przez nich niebezpiecznym zbiegiem, w oczywisty sposób naraził swojego partnera na utratę życia. To przeoczenie miało ich drogo kosztować. Ewidentnie zawalił i nic nie było w stanie go usprawiedliwić.

Męczyły go wyrzuty sumienia i nieustannie prześladowała myśl, że dodatkowo, będąc już na poddaszu budynku, przez zwykłą nieuwagę i głupią rutynę sam ledwie uszedł z życiem, dając się tak łatwo zaskoczyć.

Od wielu już miesięcy zastanawiał się nad tym, czy niesamowity realizm tego powtarzającego się w snach zdarzenia to jedynie przypadek, czy może ma on jakieś logiczne uzasadnienie. Z pewnością częstotliwość snów nie pozwalała mu zapomnieć o tamtym incydencie, co spowodowało, że analizując go dziesiątki razy, wiedział już dobrze, gdzie wtedy zawalił. Uświadomił sobie, że od tamtego czasu jest znacznie bardziej przewidujący i widzi szczegóły, które kiedyś zapewne by mu umknęły.

Czy od samego początku celem tego było przygotowanie go do czegoś, co miało wkrótce nadejść?

Teraz, stojąc naprzeciw zbliżającego się do niego w desperackim ataku psychopaty, rozumiał, że ta sytuacja musiała się kiedyś powtórzyć po to, by mógł w końcu naprawić tamte błędy.

Zauważył, jak sięga on w kierunku zawieszanej na pasie pochwy, z której od dołu wystawało długie, błyszczące ostrze. Zdawał sobie sprawę z tego, że dobrze wyszkolony nożownik potrzebuje zaledwie sekundy, by wydobyć z niej broń. Zdecydowanie, bez wahania, zrobił dwa kroki w kierunku napastnika, skracając dystans. Niemal równocześnie wykonał zamach metalową pałką, uderzając go celnie w prawy bok głowy. Mężczyzna, jak rażony, osunął się w dół.

W tej samej chwili, z brzękiem, na kamienną podłogę wypadł duży myśliwski nóż. Na jego grubej, skórzanej rękojeści, pośrodku uchwytu, odcisnięta była runa symbolizująca Khorna. A więc to ten padalec prawdopodobnie był w Łodzi – pomyślał Bruno, spoglądając na leżącą na posadzce białą głowę, na której, spod przeredzonych mocno włosów, prześwitywała różowa skóra.

Nagle drzwi do budynku otworzyły się i rozległ się bardzo głośny wybuch granatu hukowego, dodatkowo potęgowany przez ciasne, wąskie korytarze. W chwilę później do środka wbiegła grupa uzbrojonych policjantów, a kilku z nich zaczęło zbiegać schodami do piwnicy.

Bruno wyprostował się, odrzucając pałkę na podłogę i unosząc ręce do góry. Poczł uderzenie w okolice korpusu i po chwili został powalony na betonową posadzkę. Człł, jak ktoś zakłada mu na nadgarstki jednorazowe kajdanki.

Leżąc przyciśnięty kolanem do podłogi, obserwował, jak lekarz w asyście policji, idzie obok noszy, na których leży jego przyjaciel. Zauważył, że rozmawiał z nimi, unosząc powoli rękę w górę.

Odetchnął z ulgą.

Po chwili został wyprowadzony na zewnątrz.

Plac przed pałacykiem państwa Roleskich i teren wokół niego

rozświeślały błyski kilku policyjnych radiowozów, a wszędzie wokół biegali umundurowani policjanci oraz pracownicy kryminalni w cywilu. Zewsząd dobiegały krzyki i odgłosy wydawanych poleceń.

W trakcie, kiedy Bruno był prowadzony do więźniarki, usłyszał w radiostacji nasobnej, umieszczonej na piersi policjanta, głośny trzeszczący głos:

– Dwadzieścia cztery do dziesiątki.

– Zgłaszam... – odpowiedział funkcjonariusz, sięgając do górnej kieszeni kamizelki taktycznej.

– Dawaj tego gościa do mnie.

Policjant bez słowa skręcił w stronę nieoznakowanego granatowego pojazdu. W chwili, gdy byli kilka metrów od auta, otworzyły się jego tylne drzwi i na zewnątrz, powoli, z zauważalnym trudem, wyszedł Gregory. Zaciągnął się mocniej papierosem i wypuszczając pionowo w górę dużą chmurę dymu, podszedł do Brunona.

– No i jak ci się podoba w Trójmieście? – zapytał, wymownie się uśmiechając i wsuwając mu do kieszeni kurtki, będący na wyposażeniu w policji, opatrunek osobisty.

Bruno spojrzał na niego. Wyglądał jak ktoś po zakończonym właśnie skoku na bungee, z tą jedynie różnicą, jakby dla żartu nie podpięto mu elastycznej liny.

– Muszę przyznać, że nie sposób się tu nudzić – odpowiedział, spoglądając po sobie. Teraz dopiero zauważył ślady krwi na swojej kurtce i zorientował się, że prawdopodobnie zaraz po uderzeniu pałąk teleskopową, zderzył się jeszcze z gościem w piwnicy i ma dość mocno rozbity prawy łuk brwiowy.

– Zapraszam do mnie jutro około... – Gregory uniósł rękę, spoglądając na zegarek. – Powiedzmy o dziesiątej. Opowiesz mi do protokołu, jakie atrakcje spodobały ci się najbardziej – dodał, a następnie przeciął plastikowe kajdanki znajdujące się na jego dłoniach.

– Dzięki – powiedział Bruno, rozmasowując nadgarstki.

– Mamy też Oskara Roleskiego. Wszystkie dowody wskazują na to, że to on stoi za zabójstwem Laury.

– A jak nasze pozostałe elfy?

– Jego dwaj pomocnicy z furgonetki już są u nas. Zwinął ich Siwy z chłopakami z Oddziału Prewencji. Tu na miejscu zatrzymaliśmy czterech kolejnych. Coś mi się wydaje, że wizja długoletniej odsiadki, na którą z pewnością zasłużyli, spowoduje, że będą raczej rozmowni.

– Niewątpliwie może ona stanowić dla nich miłą zachętę... – zgodził się z nim Bruno, rozrywając brązowe opakowanie opatrunku.

– Dodatkowo wyjaśniamy jeszcze podobne zdarzenia z kilku innych miast. Sprawdzamy wszystkie młode dziewczyny, które w ostatnich latach miały coś wspólnego z branżą modową, a które zaginęły bądź bez wyraźnego powodu targnęły się na własne życie – powiedział, przyglądając się przez chwile rozcięciu nad jego okiem. – Już teraz ustaliliśmy, że zbyt często na zdjęciach z niektórymi z nich przewija się osoba podobna do Wiki.

– To by wiele tłumaczyło – odrzekł Bruno, przyciskając opatrunek do krwawiącego już trochę mniej miejsca.

– Prawdopodobnie w każdym przypadku działali według powtarzającego się schematu – kontynuował Gregory. – Wysyłali dziewczynę, która przedstawiała się jako modelka z renomowanej agencji. Dzięki temu łatwo nawiązywała znajomości z wybraną grupą kobiet. Były one później przez nią werbowane i wykorzystywane przez Oskara, a czasem jego ludzi. Jednak kiedy się już znudziły, bądź robiły się niewygodne, często spotykało je coś złego.

– Tak było w przypadku naszej Laury.

– Dokładnie tak. Laura była jedną z takich dziewczyn. Natomiast jej koleżanka, w porę zorientowawszy się, w czym rzecz, uciekła z zamiarem ukrycia się. Tak jak już wspomniałeś, posiadała cenne informacje i chciała

je przekazać prywatnemu detektywowi, lecz niestety podzieliła się nimi również z Wiki i to ją zgubiło.

– Muszę przyznać, że nieźle to rozegrała – dodał Bruno, widząc w oddali grupę policjantów opuszczających dom pani Roleski.

– Kiedy Oskar dowiedział się od Reni, że prywatny detektyw imieniem Tomasz jest w posiadaniu obciążających go dowodów, postanowił mu je odebrać. – Gregory przerwał na chwilę, by zapalić kolejnego papierosa. – Jednak nie był taki głupi. Zorientował się, że Tomasz, umawiając się na spotkanie z dziewczyną w parku Reagana, tak naprawdę chciał jedynie zyskać na czasie i uciec. Być może tego wieczoru zamierzał tylko zawieźć żonę w bezpieczne miejsce i przyjechać do nas. Zapytamy go o to.

– W pewnym stopniu przejrzał ich plany.

– Można tak powiedzieć.

– Tomasz był ostrożny. Nie wiedzieli, gdzie mieszka, dlatego też zaczęli obserwować jego biuro. I wtedy zrobił błąd, pojawiając się w nim ostatniego wieczora, dodatkowo z bagażem w aucie. A skoro nie znaleźli przy nim ani w biurze poszukiwanej teczki, zabrali go ze sobą i trochę docisnęli. Wyliże się – powiedział Gregory, obserwując odjeżdżający właśnie ambulans.

– To świetna wiadomość.

– Bardzo nam w tej sprawie pomogłeś. Dzięki. – Spojrzał na Brunona poważnym wzrokiem, po czym, kładąc mu rękę na ramieniu, dodał: – A ty podziękuj pani Soni. Źle ją oceniłem. To ona zadzwoniła do nas po tym, jak przebywając na tarasie, usłyszała rozmowę swojego męża z ochroniarzem. W trakcie tej krótkiej wieczornej pogawędki, kazał cię zatrzymać przy bramie i delikatnie mówiąc, uciszyć.

Bruno spojrział raz jeszcze na budynek pałacyku, w którym powoli gasły już światła.

– Poza tym jest to nasz główny świadek w tej sprawie – ciągnął Gregory. – Bardzo odważna i mądra kobieta. Przez pewien czas

próbowaliśmy wyjaśnić, co takiego łączyło ją z pewnym przykrym wydarzeniem w Olsztynie, gdzie przed niespełna czterema laty znaleziono ciało dwudziestoletniej dziewczyny. Przyjechała ona z Torunia na zaproszenie znajomej. Wiemy tylko, że w tym dniu zaginęły obie kobiety. Ciało tej pierwszej, jak już wspomniałem, odnaleziono, druga zniknęła bez wieści. Była to dwudziestodwuletnia siostra pani Soni, przyjaciółka ofiary. Sprawców tej zbrodni nie ustalono. Po tym wydarzeniu kobieta postanowiła na własną rękę znaleźć winnego. Musiała mieć jakieś podejrzenia co do Roleskiego, bo poświęciła kilka lat życia, aby dostać się w jego otoczenie. Najpierw przyjmując się u niego do pracy jako wizażystka i osobisty doradca, by w końcu, z biegiem czasu, zdobyć jego pełne zaufanie. Gdy była w pobliżu Oskara, zebrała dowody, które z pewnością posadzą go na resztę życia. Być może będzie to dla niej pewną satysfakcją, chociaż rana po stracie siostry zapewne nigdy się nie zagoi.

Bruno uniósł głowę.

Gregory spojrzął w jego oczy i w jednej chwili znieruchomiał. Zdał sobie sprawę, że ten niewielki, lekko zauważalny uśmiech na jego twarzy świadczyć może jedynie o tym, że ma on w zanadrzu jakąś niespodziankę. I rzeczywiście się nie mylił.

Na srebrnym łańcuszku, który pani Roleski zostawiła przypadkiem w jego aucie, a któremu Bruno zdążył się uważnie przyjrzeć, zawieszona była ozdoba w postaci połówki z przełamane serca z dużą literą „K”.

„K” – jak Kaja.

Taką samą ozdobę z wygrawerowaną pierwszą literą imienia swojej siostry Soni, miała kobieta z dworca.

– Myślę, że dla mojej wybawczyni odnalezienie bardzo bliskiej osoby będzie odpowiednią zapłatą za uratowanie mi życia. – Bruno uśmiechnął się. – Wyślij, proszę, grupę z psychologiem na dworzec kolejowy Gdynia Redłowo. Idąc pod mostem, wzdłuż rur ciepłowniczych, z pewnością do niej trafisz – powiedział i zauważył, jak boki wąsów Gregory’ego unoszą

się powoli w górę. – Najpierw jednak chciałbym podziękować ci za szybki przyjazd – dodał i mocno uściśnął dłoń policjanta, a następnie zbliżając się, poklepał go lekko po plecach.

Gregory syknął z bólu. Bruno spojrzał pytająco.

– Nieważne. Zachciało mi się na stare lata spacerów po lesie. Jutro ci opowiem. A co do przyjazdu... Byliśmy przypadkiem w pobliżu... Sam wiesz... dla utrzymania naszej dość dużej popularności – mrugnął do Brunona – wpadamy czasem niezapowiedziani po kolędzie. A mówiąc poważnie – dzisiaj, od momentu jak tylko zadzwoniłeś do mnie ze Starego Miasta, wysłałem za tobą ogon z chłopakami, tak dla bezpieczeństwa.

Bruno wyjechał z posiadłości.

Przez dłuższy czas widział jeszcze migoczące we wstecznym lusterku światła radiowozów.

Ostatni przejazd i do łóżka – pomyślał.

Po odwiezieniu pana Nortona, który wylatywał do Portugalii, by spotkać się ze swoją córką i wnuczką, z którym po raz pierwszy miał spędzić święta, skierował się do Galerii Bałtyckiej.

Dochodziła północ. Dokładnie tego samego dnia, tydzień temu, miał swój pierwszy kurs. Spojrzał na telefon. Nieodebrane połączenie i dwie nieodczytane wiadomości SMS:

„Panie Bruno, oglądał pan tv? Leciało na live. Nie uwierzy pan! Znaleźli Tomasza żywego! Będę w poniedziałek. Całuję. Kasia”.

Drugi SMS przyszedł od Kapitana:

„Przepraszam, nie przyjadę. Stop. Moja dobra znajoma ma kłopoty. Stop. Zapraszam do Krakowa. Kapitan”.

W co znowu pakuje się mój przyjaciel? – pomyślał Bruno, mijając jadący wolno ambulans. – Zaraz z rana muszę zajrzeć do Tomka, a w najbliższych dniach umówię się na spotkanie z panią Sonią, by osobiście jej podziękować. Później, z początkiem nowego roku, wezmę kilka dni wolnego i odwiedzę starego Kapitana.

Dziś był wyjątkowo ciężki dzień, dlatego z pewnością zasłużyłem na porządną szklaneczkę whiskey przed snem – powiedział do siebie, przeczesując palcami brodę.

Z samochodowego radia dobiegał głos Stinga i utwór „It’s Probably Me”. Za oknem samochodu zaczął padać pierwszy tej zimy śnieg.

Zwolnił, zjeżdżając krętą drogą do parku krajobrazowego.

BARTŁOMIEJ ŁUDWISIAK

✿ GDAŃSKI ✿
SMAK
WHISKEY



NOVAE RES